STUDIUM PORÓWNAWCZE

STR. 10

RZECZ POETYCKA – 1975

STR. 6

WYSŁANNIK PREZYDENTA

STR. 8

NOWY ROK – stare problemy

STR. 9

MAGAZYN

STR. 12

ODGŁOSY

ROK XIX NR 4 (946), 22 STYCZNIA 1976 ROKU CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

REKOMENDACJE

19 stycznia minęła 31 rocznica wyzwolenia Łodzi. Z tej okazji miasto wyróżnia nagrodami tych swoich obywateli, którzy swoją pracą i wiedzą szczególnie przysłużyli się dla rozwoju miasta i poprawy życia jego mieszkańców. Sylwetki tegorocznych laureatów przedstawia bieżący numer „Odgłosów".

Polecamy również m. in. dwa ciekawe reportaże zagraniczne: Krzysztofa Pogorzelca „Lordowie i terroryści" oraz Jana Bąbińskiego „Lili Marleen".

Dotychczasowe prezentacje łódzkiego środowiska literackiego na łamach przeróżnych almanachów, okazjonalnie wydawanych tomów czy przypadkowych numerów czasopism, grzeszyły zwykle niepełnością informacji, brakiem rzeczowej analizy – tak zaczyna Sławomir Świontek swój wywód na temat kolejnego tomu „Rzeczy poetyckiej".

W bież. numerze piszą także Kazimierz A. Lewkowski o Teatrze Otwartym powołanym do życia przez Związek Literatów Polskich i Paweł Tomaszewski o teatrach studenckich.

Z prawdziwą przyjemnością przeczytacie studium porównawcze Wiesława Jażdżyńskiego pt. Radziwiłł i Kowalski oraz z wielkim zainteresowaniem następny odcinek Centrum tajnego frontu, a także Jerzego Czecha na temat polityki zachodniej pt. „Nowy rok – stare problemy".

W bieżącym numerze „Odgłosów" znajdą Czytelnicy poza tym wszystkie stałe pozycje: felietony, informacje książkowe, program telewizyjny, recenzje oraz „Magazyn", w którym polecamy przede wszystkim „Rozrywkę, rytm i melodię", pióra Andrzeja Jóźwiaka.

REPORTAŻ ZAGRANICZNY

KRZYSZTOF POGORZELEC

LORDOWIE i TERRORYŚCI

Wszystko odbywało się z punktualnością zegarka firmy „Patek": najpierw ukazywał się lokaj przyodziany w granatową liberię, otwierał na oścież bramę i wtedy można było dostrzec parę gniadoszy. Upływała dobra chwila i pojawiali się oni. PANI i PAN w strojach do konnej jazdy. Towarzystwo dosiadło rumaków i obojętni na pędzące samochody, autobusy wolno zmierzali do pobliskiego parku na poranną przejażdżkę. Potem był równie ceremonialny powrót. I tak każdego niemal dnia. No więc — pomyślałem sobie — widziałeś prawdziwych lordów. Okazało się, że była to para nowobogackich: on — boss jakiejś agencji reklamowej, ona — gwiazdeczka brytyjskiej TV. Sorry...

1.

A jednak są. Ilu ich jest? Na to pytanie nie tak znowu łatwo odpowiedzieć. Biorę więc za świadka Maksymiliana Berezowskiego i za nim obliczam: w Izbie Lordów, jak za dawnych „dobrych" czasów kiedy to Brytania panowała nad lądami i morzami, z tytułu urodzenia zasiada 900 lordów, bardzo rygorystycznie uszeregowanych wedle hierarchii. Na samym „szczycie" — książęta, dalej idą markizi, hrabiowie, wicehrabiowie i baroni. Wśród tej niemałej gromady „śmietanką" są oczywiście książęta krwi, natomiast za utytułowany plebs można uznać baronetów, którzy de facto nie są nawet lordami, a wyróżniają się jedynie tytułem sir.

No i co?

A no nic. Pod pomnikiem Ryszarda Lwie Serce jest taki sobie wielce ekskluzywny parking, na którym mogą się zatrzymywać tylko samochody ich lordowskich mości. A tak po prawdzie mówiąc, to zaczynam podejrzewać, iż tytuł lordowski cieszy się większą estymą w republikańskiej i demokra-

Dalszy ciąg na str. 5

JAN BĄBIŃSKI

„LILI MARLEEN"

W recepcji trzypiętrowego hotelu w Düsseldorfie siedział bez ruchu starszawy mężczyzna o siwawych już skroniach i przysłuchiwał się z napięciem na twarzy piosence, która rozbrzmiewała z tranzystora. Tak był tym pochłonięty, że w pierwszej chwili wcale mego wejścia nie zauważył. Zamieniłem się w słuch, cóż to, przecież to „Lili Marleen". Przystanąłem z boku i wtedy w jednej ulotnej sekundzie nadleciała fala wspomnień.

... po nocnej zmianie w hucie wlokłem się na popętanych nieludzkim zmęczeniem nogach po betonowych schodach w kierunku bramy. Nagle poprzez rozgwar głosów dochodzących od pieca, poprzez szum maszyn doleciały do mnie z głośnika w korytarzu przeniknięte dziwnym smętkiem tony piosenki jakiej nigdy przedtem nie słyszałem...unter der Laterne, vor dem grossen Tor... Wibrujący głos śpiewaczki dotykał głębin ludzkiej duszy, wyzwalał otchłanie tęsknoty za innym lepszym życiem. Z każdej frazy tej prostej sentymentalnej piosenki biło melancholią i bezdennym smutkiem. Ale w sercu wzbierała zarazem nadzieja na coś cudownego ukrytego gdzieś tam w oddali za potworną rzeczywistością...

Teraz dopiero recepcjonista uniósł na mnie oczy.

— Coś to nam przypomina, nicht wahr?

I zaraz dorzucił.

— Goebbels nie znosił tej piosenki, był zdania, że podrywa morale frontowych żołnierzy. Kazał piosenkarkę, to jest tą Lale Andersen wysłać na wyspę Langgeoog na Morzu Północnym, żeby się trzymała z daleka od koszar. Byłem wtenczas z Rommlem w Libii z „Afrika-Korps", jak usłyszę „Lili Marleen", to jakbym znowu widział te piekielne piaski i to cholerne słońce, które nigdy nie zachodziło chmurami. A pan na jakim froncie wtedy się tłukł?

— Siedziałem tu w pobliżu, w Essen.

Zapadło milczenie.

— Chciałbym na jedną noc pokoik — poprosiłem — możliwie najtańszy, niestety, z dewizami u mnie krucho.

Recepcjonista przyglądał mi się z uwagą.

— Mam jeden, 24 marki za dobę, nic tańszego w Duesseldorfie pan nie znajdzie.

Wypełniłem maleński formularz, recepcjonista rzucił nań okiem i zbaraniał.

— Z Polski? Unglaublich, nigdy nie miałem tu żadnego gościa z Polski.

Chwilę się zastanawiał.

— Wie pan co, ja też jestem polskiego pochodzenia od strony ojca. Mój fater przyjechał tu z Rybnika jeszcze przed pierwszą wojną. W młodości umiałem trochę po polsku, ale już pozapominałem, a mój syn to już ani w ząb. Nazywam się Krawczyk. To pan prosto z Polski?

— Niezupełnie, po drodze zatrzymałem się parę dni w Essen.

— Essen, ach so, a Villę Huegel pan oglądał? Kto tylko wdepnie do Essen, zaraz rozpytuje o Kruppa.

— Villę oglądałem, nie pierwszy raz oglądałem.

Dalszy ciąg na str. 5

OD CZWARTKU DO CZWARTKU

W BUNDESTAGU O UMOWACH Z POLSKĄ

Po pierwszym czytaniu w Bundesracie a następnie po pierwszym czytaniu w Bundestagu, umowy między RFN a Polską uzgodnione w Helsinkach i podpisane w październiku ub. roku w Warszawie przeszły pod obrady Komisji Prawnej Bundestagu. Komisja ta po dwudniowych obradach przyjęła głosami partii koalicji przeciwko głosom CDU/CSU uchwałę zalecającą parlamentowi przyjęcie wspomnianych umów. W najbliższych dniach również pozostałe komisje: Pracy i Spraw Socjalnych oraz Zagraniczna mają zająć stanowisko.

LAUREACI KONKURSU NA TEMAT WALKI Z CHOROBAMI WENERYCZNYMI

Został rozstrzygnięty doroczny konkurs na najlepsze publikacje prasowe i radiowo-telewizyjne roku 1975, związane z tematyką walki z chorobami wenerycznymi.

W dziale publikacji prasowych przyznano nagrody: Barbarze Kisielewskiej (pseud. Dąbrowska) za obszerny cykl artykułów w miesięczniku „Jestem", Annie Strońskiej autorce książki pt. „Kup mi serce", w której obszerny rozdział poświęcony jest chorobom wenerycznym, Aleksandrowi Karpikowi za cykl artykułów w gazecie zakładowej „Fasty".

Poza tym jury przyznało pięć wyróżnień: Marii Długosz, Wiesławie Rejnson, Krystynie Olęckiej, Barbarze Sośnierz i Ewie Grinberg.

W dziale radiowo-telewizyjnym przyznano nagrody: Elżbiecie Zusin z warszawskiej rozgłośni Polskiego Radia za audycje publicystyczne z cyklu „Wiedza o człowieku" i „Lekarz przypomina", Karolowi Lubelczykowi z TV za interesujący program oparty na dramacie Ibsena „Upiory", Januszowi Miładowskiemu z gdańskiej rozgłośni Polskiego Radia, i Hannie Kolasińskiej z telewizyjnego magazynu „Nie tylko dla pań"

KRADZIEŻ RZEŹB

Z kościoła św. Zofii w Neapolu zrabowano pięć drewnianych rzeźb aniołów. Figury stanowiły część 40-osobowej sceny religijnej i były wykonane w 1478 roku przez znanych rzeźbiarzy neapolitańskich Pietro Allemanno i jego syna Giovanniego. Wartość każdej rzeźby ocenia się na ok. 5 tysięcy dolarów.

NAGRODY PRASOWE

Jury Stowarzyszenia Filmowców Polskich przyznało doroczne nagrody za najlepsze artykuły i sprawozdania z XV Ogólnopolskiego i XII Międzynarodowego Festiwalu Filmów Krótkometrażowych w Krakowie. Laureatami zostali Kazimierz Żórawski za artykuły sprawozdawczo-krytyczne drukowane w „Kulturze" i Dorota Terakowska w dziale codziennych sprawozdań prasowych publikowanych w „Gazecie Południowej".

HOBBY MARYNARZY

Jednym z najpopularniejszych hobby marynarzy jest film amatorski. W czasie długich rejsów, utrwalają na taśmie interesujące wydarzenia z życia załogi. Marynarze-filmowcy działają w klubach, których w woj. szczecińskim jest siedem.

Filmy realizowane przez marynarzy odznaczają się wysokim poziomem artystycznym i zdobyły już wiele nagród na międzynarodowych konkursach i festiwalach: m.in. w Czechosłowacji, Jugosławii i NRD.

Na wielu statkach armatora szczecińskiego istnieją pracownie filmowe, dysponujące sprzętem niezbędnym do wykonywania obróbki filmu.

OBRAZY BRANDTA W RADOMIU

Muzeum Okręgowe w Radomiu zgromadziło kilkadziesiąt obrazów i szkiców Józefa Brandta — malarza związanego z tym regionem. Jego imieniem nazwano pałacyk w Orońsku w woj. radomskim, gdzie mieści się centrum rzeźby polskiej. Ośrodek ten będzie w najbliższych latach rozbudowany. Po remoncie pałacu w jego salach urządzona zostanie ekspozycja poświęcona życiu i twórczości J. Brandta oraz wystawa małych form rzeźbiarskich.

JAPOŃCZYK LAUREATEM

Nagroda im. Norwida, przyznawana corocznie za najlepszą w Warszawie indywidualną wystawę malarską, podzielona została w tym roku między dwóch laureatów. Są nimi: Jan Tarasin oraz Koji Kamoji — artysta narodowości japońskiej, absolwent polskiej uczelni, członek ZPAP.

Nagrodę przyznało jury, złożone z krytyków plastycznych, powołane przez Zarząd Okręgu Warszawskiego ZPAP.

POLAK WICEPRZEWODNICZĄCYM RADY UNDP

W ub. czwartek rozpoczęła się w Nowym Jorku XXI sesja Rady Zarządzającej ONZ-owskiego Programu Rozwoju (UNDP). W skład rady wchodzą przedstawiciele 48 państw.

Przewodniczącym Rady UNDP na rok 1976 został stały przedstawiciel Kuby w ONZ, ambasador R. Alarcon. Wiceprzewodniczącym, na wniosek Francji, wybrano delegata Polski, zastępcę stałego przedstawiciela PRL przy ONZ — Antoniego Czarkowskiego.

Głównym tematem prac XXI sesji jest rozdział funduszy na lata 1977—81 oraz poszukiwanie sposobów rozwiązania przejściowych trudności finansowych UNDP.

Polska korzysta z pomocy technicznej UNDP w formie dostaw nowoczesnego sprzętu, szkolenia polskich specjalistów oraz usług ekspertów.

POLSKA–76

UTRWALANIE STRUKTURY

Często powtarzamy, że w naszym kraju dokonuje się szybki postęp społeczny i gospodarczy, że kraj nasz wszedł na drogę intensywnych przeobrażeń. Tak jest istotnie, ale jak rzeczywiście szybkie i głębokie są te zmiany, przekonujemy się wtedy, kiedy instytucje i formy życia społecznego i gospodarczego stworzone w poprzednim okresie przestają wystarczać i powstaje konieczność dokonywania przebudowy struktury naszego życia społecznego. Takiej przebudowy dokonaliśmy w połowie ubiegłego roku. Stworzyliśmy strukturę władzy, która bardziej odpowiada nowym warunkom społecznym w kraju, która pozwala w sposób sprawniejszy zarządzać poszczególnymi rejonami kraju i która sprzyja realizacji zasady demokracji socjalistycznej.

Uchwała VII Zjazdu PZPR tak precyzuje ten moment z naszych dziejów współczesnych:

„Reforma terenowych organów władzy i administracji państwowej stworzyła lepsze warunki do pracy rad narodowych, ich komisji i radnych, przyczyniła się do rozwoju inicjatywy społecznej. Wprowadzenie dwustopniowego systemu władz terenowych stworzyło możliwość zwiększenia roli gmin i miast jako jednostek podstawowych.

Należy nadal doskonalić działalność rad narodowych, zacieśniać ich więź ze społeczeństwem, podnosić poziom ich pracy, aktywność i inicjatywę. W centrum rad narodowych i administracji powinny się znajdować sprawy ludzi pracy, realizacja zadań polityki społeczno-gospodarczej, wyzwalanie rezerw, podnoszenie efektywności gospodarowania".

Powołane do życia w połowie ubiegłego roku wojewódzkie rady narodowe w 49 województwach ukształtowały się w oparciu o dwie zasady:

— mandat uzyskany w wyborach z 1973 roku,

— miejsce zamieszkania lub pracy radnego.

Powstała więc konieczność powołania wojewódzkich rad narodowych bardziej odpowiadających zasadzie reprezentacji społeczeństwa danej jednostki administracyjnej w jej władzach, a także konieczność wypełnienia postulatu rozwijania demokracji socjalistycznej, jaki postawił przed partią i narodem VII Zjazd PZPR. Realizacją tego postulatu są ogłoszone przez Radę Państwa na dzień 21 marca 1976 roku wybory do Sejmu i wojewódzkich rad narodowych.

Sejm PRL na posiedzeniu z 17 stycznia 1976 roku uchwalił Ustawę Konstytucyjną o upływie kadencji rad narodowych i ordynację wyborczą. Nowa ordynacja wyborcza uwzględnia zmiany, jakie dokonały się w społeczno-politycznym rozwoju naszego kraju oraz wychodzi z założenia, że kraj nasz przystąpił do budowy społeczeństwa rozwiniętego socjalizmu.

Rada Państwa na swoim posiedzeniu, które odbyło się również 17 stycznia 1976 roku, uchwaliła kalendarz wyborczy. Kalendarz ten przewiduje, że:

— 24 stycznia 1976 roku nastąpi ogłoszenie uchwały Rady Państwa o liczbie radnych wojewódzkich rad narodowych,

— 26 stycznia 1976 roku powołana zostanie Państwowa Komisja Wyborcza,

— w tym samym czasie nastąpi też ustalenie granic okręgów wyborczych dla dokonania wyborów do Sejmu PRL, jak i granic okręgów wyborczych, w których wybierać się będzie radnych do wojewódzkich rad narodowych,

— 31 stycznia 1976 roku powoła się okręgowe komisje wyborcze,

— 5 lutego 1976 roku nastąpi powołanie obwodowych komisji wyborczych,

— od 12 lutego 1976 roku obwodowe komisje wyborcze dysponować będą spisami wyborców,

— od 15 lutego 1976 roku można będzie sprawdzać spisy wyborców,

— 25 lutego 1976 roku nastąpi ogłoszenie list kandydatów na radnych do wojewódzkich rad narodowych,

— 1 marca 1976 roku nastąpi ogłoszenie list kandydatów na posłów do Sejmu PRL.

21 MARCA 1976 ROKU POWSZECHNE WYBORY DO SEJMU PRL I WOJEWÓDZKICH RAD NARODOWYCH.

W KINIE „STYLOWY"

...od 19 stycznia do **27 stycznia 1976** roku trwa przegląd filmów, odbywający się pod hasłem: **DOROBEK ŁÓDZKICH TWÓRCÓW FILMOWYCH.** W tym czasie, każdego dnia na seansie o godz. 17,45, prezentowane są filmy łódzkich filmowców. Do tej pory odbyły się już projekcje filmów: **Zbigniewa Chmielewskiego „Twarz anioła"** (19, I.), **Henryka Kluby „Słońce wschodzi raz na dzień"** (20.I.), **Zbigniewa Kuźmińskiego „Agent nr 1"** (21. I.), **Grzegorza Królikiewicza „Na wylot"** (22, I.).

W najbliższych dniach można będzie obejrzeć w kinie „Stylowy" następujące filmy:

— 23 stycznia film **Sylwestra Szyszko „Ciemna Rzeka"**,

— 24 stycznia film **Jana Łomnickiego** według powieści Wacława Bilińskiego **„Nagrody i odznaczenia"**,

— 25 stycznia film **Waldemara Podgórskiego** zrealizowany na motywach powieści Ryszarda Binkowskiego **„Pójdziesz ponad sadem"**,

— 26 stycznia film **Kazimierza Kutza**, zrealizowany na podstawie powieści Jerzego Wawrzaka, **„Linia"**,

— 27 stycznia film **Juliana Dziedziny „Bokser"**.

Odbędą się też — przed projekcją filmów — spotkania z pisarzami, których powieści stały się podstawą filmów

— 24 stycznia spotkanie z **Wacławem Bilińskim**,

— 25 stycznia spotkanie z **Ryszardem Binkowskim**,

— 26 stycznia spotkanie z **Jerzym Wawrzakiem**.

WACŁAW KONDEK

17 stycznia 1976 roku zmarł w Łodzi artysta plastyk — Wacław Kondek.

Urodził się w 1917 roku w Dąbrowie Górniczej. Studia plastyczne odbył w Instytucie Sztuk Pięknych w Krakowie i w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Łodzi. Był artystą wysoce oryginalnym i utalentowanym. Uprawiał malarstwo, grafikę i rzeźbę. Swoje wizje artystyczne utrwalał w ceramicznych kompozycjach. Tworzył scenografię dla filmów rysunkowych i teatrów lalkowych. Jest autorem kilku albumów poświęconych Łodzi: „Ulica Piotrkowska", „Łódzkie Pałace", „Fabryki Łodzi Czerwonej".

Zajmował się nie tylko malarstwem, grafiką i rzeźbą. Pisał też o sztuce, o architekturze, o pięknie. Zapatrzony był w baśniowy świat, jaki ukazywał się tylko jego oczom. Chciał zwrócić na ten świat uwagę innych. Malował ten świat na drewnie, rzeźbił diabły, dziwostwory, rysował i pisał o tym. Przez kilka lat pracował jako grafik w ówczesnym „Dzienniku Łódzkim". Współpracował z „Odgłosami", publikując na naszych łamach nie tylko rysunki, ale i reportaże o sztuce, swoje literackie wizje piękna.

Jego prace znajdują się nie tylko w muzeach, ale też u wielu prywatnych posiadaczy, którzy wysoko cenią sobie twórczość Wacława Kondka. Wielu ludzi, przyjaciół i znajomych nauczył wrażliwości na piękno, nauczył innego patrzenia na otaczający nas świat.

Jest autorem 5 filmów. Miał blisko 30 wystaw indywidualnych w kraju i za granicą. Miał wielu wielbicieli swego talentu i artystycznego dorobku. Miał też naśladowców.

Pozostanie w naszej pamięci jako wrażliwy artysta, jako człowiek, który widział wokół siebie piękno i chciał, aby inni też je widzieli.

„ODGŁOSY"

TELEWIZJA

PROPOZYCJE PROGRAMOWE

Czwartek, 22. I — program I:

18.45 GIEŁDA REPORTERÓW czyli konkursowy przetarg na reportaże telewizyjne.

20.30 Telekino wyświetli angielski dramat psychologiczny pt. „I NIKT NIE ZDOŁAŁ JEJ URATOWAĆ". Reżyseria — Kewin Billington (kolor).

Program II:

17.45 Dzieje niewielkiej społeczności i naturalne ambicje rozwojowe ukazuje reportaż Marii Mrozek „KRONIKA Z MIASTECZKA BOBOWA".

21.25 W cyklu „Polski Film Dokumentalny" projekcja filmu pt. „ROBIĆ SWOJE" Andrzeja Piekutowskiego.

22.05 Osiągnięcia kulturalne Radomia i nowe funkcje miasta — jako siedziby województwa — ukazane są w reportażu pt. „NA STYKU EPOK" (kol.).

Piątek, 23. I. — program I.

18.50 EUREKA zaznajamia tym razem z aktualnymi problemami polskiej nauki i jej wpływem na unowocześnienie przemysłu i gospodarki.

20.25 Teatr Małych Form zaprasza na „DIALODI Z POETĄ".

Sobota, 24. I. — program I:

18.10 „ŻYWIOŁY" — to tytuł pozycji oświatowej, z elementami inscenizacji i rozrywki. Wystąpią: Danuta Szaflarska, Andrzej Szczepkowski i Łucja Żarnecka.

20.20 Teatr Komedii wystawia francuską sztukę współczesną Roberta Thomasa pt. „SPÓŁKA MORDERCÓW". Wśród wykonawców: Krystyna Borowicz, Jarema Stępowski i Ewa Wiśniewska.

22.25 Kto nie spędził wieczoru sylwestrowego przed telewizorem obejrzy — być może z przyjemnością — montaż z sylwestrowego bloku.

Program II:

20.20 i 21.50 FESTIWAL JAZZU TRADYCYJNEGO — ZŁOTA TARKA 76. Bezpośrednia transmisja telewizyjna koncertu finałowego z Sali Kongresowej.

23.10 „SPRAWA PANA W", film krym. pr. RFN.

Niedziela, 25. I. — program I:

10.40 W „Starym Kinie" — FRANCISZEK BRODNIEWICZ.

14.20 „NIE TAKI DIABEŁ STRASZNY..." Tak zatytułował swój cykl muzyczny Henryk Czyż, popularny dyrygent Arkiestry Symfonicznej Filharmonii Łódzkiej. Interesujące zamierzenie popularyzatorskie zespołu łódzkiego TP.

15.40 „BITWA MORSKA", cz. II wyłoni zwycięzców spośród załóg statków dwóch armatorów: PŻM i PLO.

21.20 „CO KTO LUBI".

Program II:

16.50 Projekcja dramatu psychologicznego CSRS pt. „ROBINSON W SPODNICZCE".

20.45 „BYŁ BAL" — widowisko muzyczno-taneczne. Wystąpią m. in.: Kalina Jędrusik, Zofia Merle, Stan Borys i Krzysztof Litwin.

21.35 W Przeglądzie twórczości Adama Hanuszkiewicza" przypomniana zostanie jego telewizyjna adaptacja (z 1963 r.) opowiadania Andrzeja Górnego pt. „ŚLUB". (Powtórzenie w II pr. 27. I. 17.10).

Poniedziałek, 26. I. — program I:

20.15 TV Teatr na Świecie przedstawi dramat Jean Anouilha pt. „GOŁĄBKA CZYLI SZCZĘŚCIE MIŁOŚCI".

Program II:

18.30 Estrada Poetycka w programie pt. „ROZPACZE WICHRU" przypomni wiersze Tadeusza Borowskiego.

21.30 Ryszard Badowski, podróżnik i reporter TV, zaprasza na „SPOTKANIE POD KLONOWYM LIŚCIEM".

Wtorek, 27. I. — program I:

18.50 „FAKTY — OPINIE — HIPOTEZY" pt. „PARK CZY WYSYPISKO?"

20.20 Polecamy uwadze kinomanów premierę nowego serialu telewizyjnego pt. „TRZECIA GRANICA", 8-odc. film reżyseruje Wojciech Solarz. Akcja rozpoczyna się we wrześniu 1939 roku, kiedy część polskich żołnierzy przetransportowano na Węgry. Wśród nich znajduje się Andrzej z Zakopanego. I odc. nosi tytuł „ZBÓJNICKA DROGA" (kolor).

Program II:

20.20 WTOREK MELOMANA zaprasza m. in. na spotkanie muzyczne z Wandą Wiłkomirską.

Środa, 28. I. — program I:

18.45 Karol Lubelczyk przedstawi nowy program z dyskusyjnego cyklu „SPOTKANIA Z MEDYCYNĄ".

20.20 Kino Interesujących Filmów wyświetli „GORĄCY ŚNIEG". — dramat wojenny prod. radzieckiej.

22.00 „BYŁEM W ANGOLI" — ten tytuł zapowiada spotkanie z Ryszardem Kapuścińskim.

Program II:

18.00 Zwolennicy komedii obejrzą współczesny film fabularny CSRS p.t. „ZDROWA WDOWA".

W świecie PRACY

W ostatnich miesiącach cierpliwi obserwatorzy bieżących losów polskiego filmu muszą odnotować niezwykły paradoks. Stosunki między polską kinematografią a polską telewizją, tymi dwiema odrębnymi dziedzinami naszej kultury filmowej, które rządzą się odmiennymi prawami i zwracają się do częściowo odmiennych audytoriów, układają się na zasadach odwrotnych w stosunku do oczekiwań. Bowiem w innych krajach dzieje się tak, że film telewizyjny jest domeną konserwatyzmu i konformizmu i opiera się na publiczności o nader ograniczonej aktywności kulturalnej, natomiast światowy film kinowy uwolniony od sprostania masowym potrzebom stał się terenem awangardowych poszukiwań estetycznych, intelektualnej i moralnej odwagi, wrażliwym świadkiem współczesności.

W naszym kraju natomiast wiele wskazuje na odwrotny stan rzeczy. Pierwszym tego sygnałem była niegdysiejsza inicjatywa mecenatu TVP nad debiutami młodych filmowców. Mowa tu o Filmowym Studiu Młodych, które patronowało kilku interesującym przedsięwzięciom filmowym. Filmowe Studio umożliwiało eksperyment artystyczny, a więc mimo zobowiązań wobec najszerszej publiczności podjęło to niezbędne dla zdrowego funkcjonowania wszelkiej twórczości artystycznej ryzyko, na które nie było stać naszej kinematografii zwracającej się przecież do mniejszej i ambitniejszej widowni. Ostatnio zaś dwa seriale telewizyjne stały się miarą możliwości polskiego filmu w zakresie tematu współczesnego. „Dyrektorzy" i „Czterdziestolatek" — te dwa tytuły polska krytyka filmowa odmienia we wszystkich przypadkach jako wzory filmowego postępowania, a publiczność zachowuje je w żywej i wdzięcznej pamięci. Telewizja w zakresie filmu polskiego stała się więc nieoczekiwanie miejscem twórczego ducha i krytycznego impulsu, natomiast kinematografia polska nadal w tępym samozadowoleniu brnie z uporem w banał i bzdurę (przy czym nieliczne chwalebne wyjątki od tej reguły ciągle nie czynią w polskim kinie od dawna wyczekiwanej wiosny).

Ostatni tydzień przyniósł kolejny ważny argument przemawiający za wyrażonym tu poglądem. Oto „Personel" Krzysztofa Kieślowskiego, film ostry i wnikliwy, nasycony wrażliwością moralną, nie zatrzymujący się na powierzchownej publicystyce lecz docierający do wielooznacznych mechanizmów psychospołecznych, które rządzą zachowaniami zinstytucjonalizowanej społeczności. Kieślowski, wytrawny dokumentalista, autor pamiętnej „Pierwszej miłości" stworzył tym razem film fabularny, ale wyrosły z dokumentalnego warsztatu, co nadaje mu rzadkie doznanie prawdy. Twórca „Personelu" wtłacza swój dokumentalny temperament imponujący obserwacyjnym bogactwem w temat konwencjonalny. Historia społecznego, moralnego i uczuciowego dojrzewania młodego człowieka podejmującego pierwszą w życiu pracę jest fabularnym żetonem, którym gra w sztuce staje się coraz bardziej niebezpieczna i zdradliwa. Jednakże Kieślowski do tego tematu podchodzi z naturalną prostotą, która bierze się z pokory wobec rzeczywistości. Miejsce penetracji wybiera pospolite i egzotyczne zarazem. Jego bohater rozpoczyna pracę w pracowni krawieckiej, ale jest to pracownia Teatru Wielkiego w Warszawie. Tutaj w cieniu wielkiej Sztuki, która rychło wraz ze swoimi kapłanami zostanie skompromitowana odbywa się społeczno-moralna edukacja, wprowadzenie do życia absolwenta krawieckiego technikum. A życie to biegnie koleiną rozmów banalnych dyktowanych np. programem telewizyjnym i jego osobliwościami, podległe rutynie codziennych gestów i zachowań, dławione nudą, która obezwładnia wszelką inicjatywę. I oto w tej mętnej wodzie zawiązuje się sprawa, którą reżyser tyleż aranżuje, co obserwuje. Konflikt jednego z młodych krawców z operowym artystą-bufonem ujawnia prawdziwe twarze, odsłania hierarchie i zależności, formuje i deformuje charaktery.

„Personel" jest wiwisekcją na żywym mikroorganizmie społecznym, który jest przecież podstawową komórką naszego życia zbiorowego. Autor zapuszcza sondę w ten świat i poddaje go obserwacji oczyma młodego debiutanta w życiu. Jednakże bohater Kieślowskiego jest nie tylko medium ujawniającym etyczną korupcję społeczności, która eliminuje wszelki opór, on również uczestniczy w zdarzeniach, tworzy się na naszych oczach i jest poddawany próbie moralnego instynktu.

Film Krzysztofa Kieślowskiego zawiera w sobie przenikliwą i bezwzględną diagnozę społeczną. Jest bogato udokumentowanym obrazem zbiorowego paraliżu moralnego i agresywnego konformizmu. Ale jest także historią rodzenia się wartości.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

ZA TYDZIEŃ W „ODGŁOSACH"

...piszą między innymi:

— o sprawach hodowli — **Ryszard Binkowski** w reportażu pt. „Świński problem w Parzęczewie",

— o spotkaniu z Buddą w Japonii — **Józef Potęga** w reportażu pt. „Japoński paradoks",

— o stosunku do problemu latających talerzy — **Bohdan Felt** w trzeciej części artykułu „Latające talerze: fikcja czy rzeczywistość?

— o niektórych sprawach plastyki — **Gustaw Romanowski** w artykule pt. „Wielki Sezon".

A ponadto w następnym numerze jak zwykle felietony, recenzje, **„Magazyn Odgłosów"** oraz fotoreportaż **Janusza Mendychowskiego** o tym, jak zachowujemy się, kiedy na ulicy zdarzy się wypadek.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI.
Stale współpracują: ANDRZEJ BLAJER, ANDRZEJ F. GRABSKI, ANDRZEJ GRUN, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI EWA NURCZYŃSKA KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI TADEUSZ SZCZEPAŃSKI.

NAGRODY MIASTA ŁODZI

PREZYDIUM RADY NARODOWEJ MIASTA ŁODZI PRZYZNAŁO DOROCZNE NAGRODY MIASTA ŁODZI. NAGRODY OTRZYMALI:

Mgr inż. STANISŁAW DZIERZBICKI

Mgr inż. Stanisław Dzierzbicki jest profesorem w Instytucie Transformatorów, Maszyn i Aparatów Elektrycznych Politechniki Łódzkiej. Jest też przewodniczącym Wydziału V Nauk Technicznych Łódzkiego Towarzystwa Naukowego. Z Łodzią związany jest od 31 lat. Uczestniczył w budowie Politechniki Łódzkiej, opracowując dla powstającej uczelni instalację elektryczną. Jest też współtwórcą układu zasilenia w wielu łódzkich zakładach produkcyjnych.

Od lat ściśle współpracuje z dwoma wielkimi łódzkimi fabrykami: „Ema-Elester" i „Eltą". Kierował pracami zespołu, który opracował dla Teatru Wielkiego w Łodzi całą instalację elektryczną. Wykształcił w Politechnice Łódzkiej pokaźny zespół inżynierów, kieruje w tej uczelni badaniami naukowymi.

Profesor **Stanisław Dzierzbicki** jest autorem ośmiu podręczników, wielu skryptów dla studentów oraz artykułów i rozpraw naukowych publikowanych nie tylko w krajowych czasopismach specjalistycznych. Jego osiągnięcia i wyniki badań spotkały się z uznaniem nie tylko w kraju.

Doc. dr BOGUMIŁ KOZŁOWSKI

Doc. dr **Bogumił Kozłowski** w szpitalu im. K. Jonschera pracuje od pierwszych dni wyzwolenia Łodzi. Jest obecnie ordynatorem oddziału okulistycznego tego szpitala. W 1961 roku powołany został na stanowisko specjalisty wojewódzkiego w Łodzi. W 1945 roku był współorganizatorem sekcji okulistycznej Polskiego Towarzystwa Lekarskiego, która przerodziła się w Towarzystwo Okulistów Polskich. Jest wiceprzewodniczącym tego Towarzystwa.

Jako okulista pracuje już 45 lat. Przez ten czas wychował 58 specjalistów. Prowadzi prace badawcze o charakterze klinicznym, dążąc do wyjaśnienia przyczyn chorób oczu i ustalenia sposobów ich leczenia. Przez lata swojej praktyki zebrał obfity i bogaty materiał naukowy, który zestawił w jedynej tego typu pracy w kraju, w atlasie okulistycznym „Iconographia ophtalmologica", który własnoręcznie zilustrował 500 rysunkami. Jest też autorem 50 publikacji naukowych z dziedziny okulistyki.

FELIKS ŻUKOWSKI

Feliks Żukowski — aktor i reżyser — nie doczekał uroczystego momentu wręczenia mu nagrody miasta Łodzi, nagrody na którą sobie od dawna zasłużył swoją pracą i życiem w całości pracy tej poświęconym. Urodził się w 1904 roku w Rydze. Debiutował na scenie wileńskiego teatru im. Władysława Syrokomli w 1922 roku. Związany był później ze słynną „Redutą" Juliusza Osterwy. Brał udział w kampanii wrześniowej, za którą został odznaczony Krzyżem Walecznych. Był więźniem obozu koncentracyjnego w Oranienburgu, gdzie został osadzony przez Gestapo za działalność konspiracyjną.

W Łodzi zaczął występować na deskach Teatru Wojska Polskiego. Później występował w Teatrze Nowym i w Teatrze Powszechnym. Przez kilka lat występował w teatrach Wrocławia. Powrócił do Łodzi do Teatru Nowego, a w 1960 roku został dyrektorem Teatru im. Stefana Jaracza i funkcję tę pełnił do 1971 roku. Był inicjatorem i organizatorem przebudowy tego teatru.

Za swoje wybitne osiągnięcia aktorskie otrzymał liczne nagrody i wyróżnienia. Nagrodę Państwową II stopnia za rolę Włodzimierza Lenina w sztuce „Człowiek z karabinem" wystawianej we Wrocławiu, jak również nagrodę województwa wrocławskiego za całokształt twórczości aktorskiej. Otrzymał też I nagrodę na festiwalu sztuk rosyjskich i radzieckich w Katowicach również za rolę Włodzimierza Lenina w sztuce „Pierwsza patetyczna".

Do ostatnich chwil swego życia występował na deskach Teatru im. Stefana Jaracza, grając w „Ani z Zielonego Wzgórza" i „Pigmalionie" oraz przygotowując się do premiery „Wnętrza" Maurycego Maeterlincka.

Dr WŁODZIMIERZ MUSIAŁ

Dr Włodzimierz Musiał jest profesorem Akademii Medycznej w Łodzi, gdzie pełni funkcję dyrektora Instytutu Kardiologii i kierownika Kliniki Kardiologicznej.

Studia medyczne ukończył w 1931 roku w Krakowie. Z Łodzią związał się po wojnie. Tutaj, w 1948 roku, otrzymał habilitację, a w 1954 roku tytuł profesora. Pełnił też różne funkcje w łódzkiej Akademii Medycznej. Opublikował przeszło 140 prac naukowych.

Prowadzi ożywioną działalność społeczną. Przez wiele lat był członkiem Rady Naukowej przy byłej WRN. Jest przewodniczącym łódzkiego koła Polskiego Towarzystwa Lekarskiego i przewodniczącym Towarzystwa Kardiologicznego.

Posiada pokaźny dorobek naukowy, ułatwiający leczenie coraz nasilających się chorób serca.

ANTONI KASPROWICZ

Władysław Broniewski nazwał **Antoniego Kasprowicza „autentycznym łódzkim proletariuszem"**. I tak było w rzeczywistości. Antoni Kasprowicz był robotnikiem i ze swoich doświadczeń życiowych czerpał literackie inspiracje. Od najwcześniejszej młodości związany był z ruchem rewolucyjnym. Organizował i brał udział w wielu strajkach Całą swą twórczość poświęcił klasie robotniczej.

Debiutował w 1928 roku na łamach „Hasła Łódzkiego" wierszem „Na poddaszu". Pierwszy tom swoich wierszy wydał w 1935 roku. Było to „Słońce za murem".

Antoni Kasprowicz uprawia również prozę. Na swoim koncie literackim posiada poza „Słońcem za murem" również: „Złodziei owoców", „Pod kwitnącym kasztanem", „Dzielnicę Plebejuszów", „Opowiadania łódzkie". W 1957 roku ukazał się jego „Poemat Łódzki" poprzedzony wstępem pióra Władysława Broniewskiego.

Obecnie Wydawnictwo Łódzkie przygotowuje nową książkę Antoniego Kasprowicza.

ZESPÓŁ...

...ROLNICZEJ SPÓŁDZIELNI PRODUKCYJNEJ W DĄBRÓWCE koło Zgierza w składzie: inż. **ROMAN KAROLAK, DANUTA KMIEĆ i TOMASZ PIĄTKOWSKI.**

Inż. **Roman Karolak** jest założycielem Spółdzielni. Założył ją w 1958 roku i wtedy Spółdzielnia liczyła 9 członków, którzy gospodarowali na 27 ha. Dziś Spółdzielnia posiada 69 członków i 600 ha ziemi. Specjalizuje się w hodowli, drobiarstwie i prowadzi przetwórnię owocowo-warzywną. Wytwarza nie tylko na potrzeby kraju, ale sprzedaje również swoje produkty zagranicznym odbiorcom.

Inż. **Roman Karolak** od 1969 roku jest przewodniczącym Zarządu Spółdzielni.

Danuta Kmieć jest zootechnikiem w zakładzie wylęgu drobiu w Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej w Dąbrówce. Dzięki jej inicjatywie i pracy znacznie wzrosła ilość hodowanych w wylęgarni brojlerów.

Tomasz Piątkowski jest brygadzistą grupy remontowo-budowlanej, która prowadzi w Spółdzielni roboty budowlane, realizując we własnym zakresie program inwestycyjny Spółdzielni. Praca zespołu, którym kieruje **Tomasz Piątkowski** gwarantuje Spółdzielni prawidłowy rozwój.

BRYGADA...

...PRACY SOCJALISTYCZNEJ W ZAKŁADACH PRZEMYSŁU BAWEŁNIANEGO im. **J. MARCHLEWSKIEGO „POLTEX"** w składzie: **STEFAN DOLACIŃSKI, DANIELA FISIAK, JANINA MAJAS, JÓZEF PLEWIŃSKI, JADWIGA STASIAK.**

Brygada istnieje od 1962 roku i w okresie do ubiegłego roku sześciokrotnie zdobyła tytuły i nagrody za osiągane wysokie wyniki produkcyjne. Od 12 lat przekracza wyniki ilościowe i jakościowe. Podejmuje liczne zobowiązania i bierze udział w czynach produkcyjnych. Składa się z pracowników legitymujących się długoletnim stażem pracy w ZPB im. J. Marchlewskiego „Poltex". W ubiegłym roku brygada **Stefana Dolacińskiego** zdobyła tytuł Brygady Pracy Socjalistycznej im. VII Zjazdu PZPR.

STEFAN DOLACIŃSKI jest absolwentem Technikum Włókienniczego dla przodujących robotników. W ZPB im. J. Marchlewskiego „Poltex" pracuje od 1945 roku. Mistrzem tkackim jest od 1956 roku. W 1967 roku otrzymał Odznakę Zasłużonego Przodownika Pracy.

OCENY

Historycy i wojna

Chociaż Jerzy Maternicki poświęcił swoją ostatnią książkę „Idee i postawy" (Warszawa, PWN, 1975) losom historiografii polskiej i jej twórców w okresie pierwszej wojny światowej, przecież najwięcej mógł powiedzieć o historykach, nie o dziejopisarstwie. Nie dlatego bynajmniej, żeby nie przeprowadził skrupulatnej kwerendy, nie zapoznał się z bardzo licznymi tekstami, które wyszły spod pióra profesjonalnych historyków, jak również osób, parających się dziejopisarstwem okazjonalnie. Uczynił tak dlatego, bo — powiedzmy otwarcie — wojna nie sprzyjała uprawianiu naukowej historii i mało kto nią się wówczas parał, sprzyjała natomiast włączeniu się historyków do toczących się politycznych dyskusji, skłaniała do zajęcia się niejednokrotnie bardzo ambitną publicystyką historyczno — polityczną, w której pierwiastek aktualności zdecydowanie przeważał nad wnikliwością źródłowego badania. I wprawdzie nie potwierdziła się słuszność przysłowia, że „inter arma silent musae", to przecież owa Klio — muza historii — która u nas nie zamilkła w latach I Wojny Światowej, bardzo mało przypominała tę, która spokojnie i obiektywnie ocenia ludzkie czyny w przeszłości, ku pożytkowi współczesności: „swoją aktywność przejawiała głównie na polu publicystyki".

Jednakowoż historycy, wypowiadający się na sposób publicystyczny, niejednokrotnie czynili to w todze nauki. Przykładem — jednym z wielu — jest pisarstwo z czasów wojny Oswalda Balzera, jednego z najwybitniejszych wówczas naszych historyków. Bo czymże, jak nie wybitną zresztą, ale arcystronniczą publicystyką historyczną, jest jego dziełko „Z zagadnień ustrojowych Polski" i inne podobne prace? W tej obfitej twórczości, jaką rozwinęli liczni historycy polscy w okresie pierwszej wojny światowej, bardzo niewiele było wysiłków, zmierzających do poznania prawdy o przeszłości, a na pierwszy plan wysuwały się zagadnienia interpretacji dziejów ku pożytkowi współczesnego pokolenia Polaków; najważniejszą sprawą była bowiem „lekcja", jakiej historia miała udzielić teraźniejszości.

Czytając tę ambitną książkę zwracam uwagę przede wszystkim na dwie płaszczyzny rozważań autora. Pokusił się on bowiem o przedstawienie działalności historyków polskich w latach wojny, ich zaangażowania w życiu politycznym, od nurtów prawicowych, po kierunki lewicowe. Wiele tu nowych ustaleń, chociaż na pewno nie jedno dałoby się jeszcze dopowiedzieć, zwłaszcza o postawach ludzi ze środowisk politycznych, tylko okazjonalnie parających się historią. Nie zawsze też zgadzam się z ocenami, proponowanymi przez autora, np. co się tyczy Augusta Sokołowskiego, niesłusznie — moim zdaniem — wtłoczonego do środowiska konserwatystów galicyjskich.

Czy nie warto by było, skoro omawiam już działalność historyczno — publicystyczną różnych działaczy politycznych, zająć się bliżej arcyważnym, w mym przekonaniu epizodem z życia J. Marchlewskiego, który właśnie w latach wojny pisał w więzieniu swoją nie zakończoną niestety syntezę historii Polski, w której w sposób świadomy starał się zastosować dyrektywy marksistowskiego materializmu historycznego do analizy polskiego procesu dziejowego? Nie w pełni zadowalają oceny J. Dąbrowskiego — Grabca, ale z tego nie można czynić autorowi zarzutu, skoro nie ujawniono jeszcze tego wszystkiego, co o życiu i działalności tego historyka, związanego ze środowiskami lewicy, ma do powiedzenia jeden z młodych historyków łódzkich, pragnący poświęcić tej postaci osobne, wyczerpujące studium. Z własnego podwórka dorzucam mały kamyczek: Z. Kirkor — Kiedroniowa, kiedy uprawiała publicystykę pod nazwiskiem Z. Kirkor, nie występowała pod pseudonimem, ale... używała nazwiska swojego pierwszego męża. Jak wiadomo, nie tylko wówczas nazwiska pań zmieniały się, nie tylko z politycznych, ale i osobistych względów.

Bardziej interesuje mnie jednak inna płaszczyzna rozważań J. Maternickiego, to mianowicie, co pisze on o przekształceniach ówczesnej polskiej myśli historycznej, o historycznej ideologii orientacji społecznych i politycznych. Słusznie autor podkreślił, że historycy uznali wówczas, że w aktualnej sytuacji, ich zadaniem jest „nie tyle badać przeszłość narodu, ile współuczestniczyć w tworzeniu lepszej dla niego przyszłości". Podejmowali i przekształcali dotychczasowe wątki myślowe, ogólne koncepcje historyczne, które w zmienionych warunkach stawały się ideologicznym orężem środowisk odmiennych, niż te, które je zrodziły. Pod tym względem szczególnie wiele dają do myślenia dzieje t.zw. pesymistycznej interpretacji historii dawnej Polski, koncepcji, stworzonej niegdyś przez krakowskich stańczyków. W nowej sytuacji politycznej i ideologicznej do myśli tych poczęła sięgać z jednej strony endecja, m.in. w celu uzasadnienia programu porozumienia z carską Rosją ale i środowiska lewicy, w walce z koncepcjami Polski na wschodzie, a nawet lewicy rewolucyjnej, wykazującej niezdolność klas panujących w przeszłości i teraźniejszości do sprawowania rządów.

J. Maternicki kończy swoje rozważania spostrzeżeniem, że publikacje historyków naszych z okresu I Wojny Światowej „w niemałym stopniu przyczyniły się do podniesienia nastrojów patriotycznych i spotęgowania dążeń niepodległościowych w społeczeństwie polskim", że miały one również niebagatelne znaczenie dla propagandy sprawy polskiej za granicą. Miało to swoje liczne pozytywne, lecz także i inne strony, skoro głoszone i popularyzowane koncepcje nie zawsze zbliżały do prawdy o przeszłości, nie zawsze sprzyjały zobiektywizowaniu historycznych sądów. Ale — jak słusznie podkreśla to J. Maternicki — te niedostatki nie były wyłączną własnością polskiej refleksji historycznej, lecz zjawiskiem typowym swojego czasu, występującym ze zdwojoną siłą także w innych krajach europejskich, u nas zaś uwarunkowanym „szczególnymi okolicznościami, w jakich się znalazł w latach I Wojny Światowej naród polski, pozbawiony własnej państwowości". I dlatego bilans ogólny aktywności naszych historyków w tym czasie wypada mimo wszystko pozytywnie.

LEKTOR

ANTONI KASPROWICZ

ODWIEDZINY

Po obu stronach szosy rzędy drzew umykały zielonym strumieniem. Co pewien czas mijaliśmy rosnące w oczach chłopskie furmanki i załadowane ciężarówki, aż raptem auto, podskakując po bruku, przemknęło obok kościelnego parkanu i znów wyskoczyło na asfaltową równinę.

— Przelecieliśmy Łowicz, panie dyrektorze — zakomunikował szofer.

— Ano, przelecieliśmy — mruknąłem sadowiąc się wygodniej.

Pogrążony w myślach, obserwowałem przez szybę zmieniający się pejzaż.

— Mój Boże — wzdychałem — jakaż strojna jest ta polska ziemia. Tylko zaniedbana i wyjałowiona. No, ale gdy rzucimy zakupione w Niemczech pługi i siewniki — wtedy zobaczymy. Nie wszystko przychodzi od razu. A ileż to ja sam musiałem się namęczyć, zanim doszedłem do takiego stanowiska. Ile było trudu, zmagań, wyrzeczeń, zanim ukończyłem wieczorowe gimnazjum. Gdyby nie nędzne korepetycje, pojechałbym niedługo za ojcem, który zmarł z wycieńczenia i głodu. Mój Boże! Gdyby dziś żyli rodzice, cóż by im brakowało?

Pod przymknięte powieki przywoływałem z pamięci wąskie uliczki z drewnianymi domkami, wśród których spędziłem dzieciństwo i młodość. Nagle poczułem palącą tęsknotę i chęć odwiedzenia starych kątów, dawnych kolegów i znajomych.

„Ciekawe — myślałem — czy żyje na przykład taki Dytwach, Łuczak lub Wacek Cendrowski, z którymi grywałem w klipę? Czy została jeszcze rozklekotana pompa, pod którą przy jasnym księżycu rozpowiadano szeptem o cudach, duchach i rewolucji? Oj, biednie żyło się po powstaniu państwa. Dziś natomiast nie potrzebuję więcej troszczyć się o to, co będę jadł" — rozmyślałem z zadowoleniem.

Nagle podskakujące auto wyminęło kilka niebieskich wagonów tramwajowych, manewrujących na krańcówce.

— Łódź, dyrektorze — objaśnił uradowany szofer.

— Moje miasto rodzinne — wykrzyknąłem. — A wy, Matysiak, myślicie pewnie, że jestem rdzennym warszawiakiem, co?

— Tak przypuszczałem, panie dyr...

— Nic podobnego, nic podobnego! Ja jestem synem łódzkiego robotnika. Tu wyrosłem i tu się wychowałem, moi drodzy. Myślę nawet, Matysiak, że po tylu latach nieobecności wypadałoby nawet odwiedzić dawnych kumpli i stare kąty, co? Jak sądzicie?

— Pewnie, panie dyrektorze — zachęcał szofer, potakując głową. — Pogadać i popić należałoby, tylko myślę, że z racji pańskiego stanowiska nie bardzo...

— A cóż to, u diabła, Matysiak! — przerwałem zirytowany. — Sądzicie, że jestem innym człowiekiem? Taki sam jestem, jak i oni, chociaż są tylko zwykłymi robotnikami. Krew z krwi, kość z kości, moi drodzy. Razem walczyliśmy o niepodległość, więc dlaczego nie miałbym z nimi pobumelować? Niech wiedzą, że dziś dyrektor może być równy robotnikowi, rozumiecie?

— To się wi, panie dyrektorze. Ja zawsze trąbię wszystkim, że pan dyrektor jest równy chłop, bo z nędzarzy, patriotów, jak na przykład... ale mamy już województwo — zakomunikował, zatrzymując pojazd przed wspaniałym gmachem.

Nie wysiadając zwróciłem się do szofera:

— A macie wy tu, Matysiak, krewnych lub znajomych w tej Łodzi?

— Tak jest — oznajmił z ukontentowaniem.

— To daję wam wolny czas do wieczora, ale o dwudziestej podjedziecie pod ten adres — powiedziałem podając wyrwaną z notesu kartkę. — W porządku?

— Rozkaz! — powiedział zatrzaskując drzwiczki samochodu i ruszył sprzed gmachu, prześlizgując się między stłoczonymi autami.

Na szczęście konferencja, na której dwukrotnie zabierałem głos, zakończyła się o godzinie piętnastej.

Wyszedłem z gmachu i ruszyłem czym prędzej w kierunku tramwajowego przystanku. Postanowiłem udać się niezwłocznie do rodzinnej dzielnicy i starych kompanów, z którymi, jak przypuszczałem, urządzę popijochę.

W zatłoczonym tramwaju co chwila dopytywałem się o ulicę Milionową, aż wreszcie, wyskoczywszy w biegu, ruszyłem przecznicą we wskazanym kierunku.

Szedłem zachwaszczonym rowem w stronę stawu, z którego w dzieciństwie wyławiałem płaskie małże i kręte ślimaczki. Z czułością i rozrzewnieniem przyglądałem się okolicy i wodzie zarosłej szuwarami.

Oto sękaty kasztan, ten sam, do którego przywiązywaliśmy Indianina Winnetou. Jakże pięknie wygląda teraz z białymi okiściami... A tam wierzba rozdarta piorunem, odbijająca się w wodzie. A i pagórek — Łysawiec, nie inny — i tamten ogromny kamień, tylko zdaje się, bardziej wklęśnięty i omszały. O, tutaj, w tym miejscu, pamiętam doskonale, opowiadałem zasłuchanym rówieśnikom o bohaterskich czynach Zerwikaptura i wędrówkach kapitana Nemo. Na tym samym miejscu, przypominam sobie dokładnie, agitowałem za niepodległością, rozdając słuchaczom broszurki odbite na powielaczu. — A tam, opodal, w zaroślach, jeszcze jako dzieci przydybaliśmy kiedyś późnym wieczorem Rudą Jewkę z frajerem na golasa.

Ileż to wspomnień, mój Boże! — wzdychałem rozczulony, rozglądając się dokoła, jak po opuszczonym mieszkaniu. — A wszystko wydaje się, jakby to było wczoraj, a nie lat temu... Ho, ho, ile to będzie?

Znad słonecznego stawu ściągały do domów nieliczne grupki, w których na próżno wypatrywałem znajomych twarzy. W końcu ruszyłem w stronę dymiących drewniaków. Wąskie uliczki, wybrukowane polnymi kamieniami, przyozdobione gazowymi latarniami, wydawały mi się teraz jeszcze węższe i brudniejsze niż w tych odległych latach, kiedy widziałem je po raz ostatni.

„Nic się tu nie zmieniło od czasów batiuszki cara" — rozważałem, krocząc z pochyloną głową.

Wchodząc do bramy, śmierdzącej ściekami, natknąłem się na chudego młodzieńca.

— Czy mieszka tu jeszcze pani Dawidowa? — zapytałem uprzejmie.

— No, mieszka, bo co?

— A Łuczak i Cendrowski?

— Też, a bo co?

— No nic, to moi koledzy — objaśniłem skromnie.

— Kumple? — zdziwił się młodzieniec, oceniając na oko mój garnitur. — W tej sieni na lewo — Cendroszczak. Można pukać, otworzą, cześć!

Przechodziłem zalękniony przez kwadratowe podwórko. Ten sam pochylony płot, wygódki i komórki. Ta sama pompa drewniana i rozwalona brama. A ile to już lat temu? Ho, ho!

Z bijącym sercem zastukałem do drzwi.

— Czy tu mieszka pan Cendrowski?

— Mieszka, a bo co?

— To pewnie synek, ten, którego spotkałem przed chwilą?

— No, synek, a bo co?

— No nic, ja tylko tak — powiedziałem zakłopotany. — Ja jestem Władek Cywiński.

— To ty, Cywuś?! Jak Boga kocham! — zawołał Cendrowski wyskakując z rozkopanego łóżka. — Jak się masz, byku, daj pyska!

Uściskaliśmy się serdecznie, chociaż, prawdę mówiąc, nie w smak mi poszły słowa powitania, a zwłaszcza przezwisko „Cywuś", otrzymane za czasów młodości. „Ale — pomyślałem — tu nie urząd ani biuro, więc trzeba zapomnieć o konwenansach".

— Pamiętasz, Cendruś — powiedziałem — jakeśmy to grali w klipę, a później agitowali za strajkiem?

— Pamiętam, pamiętam — potwierdził Cendrowski — ale, bracie, nici z tego. Wszystko do kitu. Zafajdane życie i tyle. Pracuje się trzy dni w tygodniu i zarabia grosze. Gdyby nie moja stara...

— A gdzie żona?

— Poszła do wychodka, zaraz wróci. No, siadaj — prosił zafrasowany Cendrowski. — Zdejm kapotę, bo gorąco. Widzę, Cywuś, że nieźle ci się powodzi.

— Ano, nie mogę narzekać — potwierdziłem z uśmiechem.

— To fajno! Odpijemy ćwiartulę.

— A co porabia Dytwach, Pyrka, Łuczak i Ożóg? Mieszkają tu jeszcze? — pytałem zaciekawiony, zawieszając ostrożnie marynarkę na poręczy koślawego krzesła.

— Łuczak żyje, jest tkaczem u Scheiblera. Stary gazer Dytwach też żyje i pije, tylko Pyrka wykitował, a Ożóg — szkoda gadać, poszedł w policjanty. Przez niego, bracie, plincowałem w komisariacie. I pomyśleć, że to kumpel!

— Co ty mówisz? Przecież za młodu służył w kościele za ministranta?

— Takich właśnie potrzebują — zbagatelizował Cendrowski, stojąc przy drzwiach.

— Zaczekaj, Cendruś, nie wychodź — zawołałem, rozkładając ręce. — Mam niepotrzebne parę złotych, więc zgarnij i zorganizuj porządną popijochę. Zaproś tylko Dytwacha z Łuczakiem. Wspomnimy dawne czasy, Cendruś, co?

— Idź do diabła! Jesteś moim gościem — protestował oburzony.

— Nie certuj się, Geniu — prosiłem pojednawczo. — Był czas, żeś i ty stawiał.

— Było, minęło, ale trzy dychy to za dużo.

— Cendruś, sam mówiłeś, że Dydzio lubi pociągnąć.

— A Łuczak, sądzisz, że nie? — roześmiał się.

— No, widzisz, Cendruś, że mam rację. W dodatku jestem diabelnie głodny, więc i żarcia nie będzie za dużo.

Pozostawszy sam w malutkim mieszkanku, rozejrzałem się zaciekawiony.

Do diabła, ta sama szafa podziurawiona przez korniki, te same koślawe krzesła, stół, drewniane łóżka i kibel z cuchnącymi pomyjami w rogu. Jedna stancyjka, w której się gotuje, śpi, kocha i zdycha powolutku.

Wzdrygnąłem się, gdy w otwartych drzwiach stanęła niespodziewanie zmizerowana kobieta, w której z trudem rozpoznawałem żonę Cendrowskiego.

— Pani Cendrowska! — zawołałem uradowany. — Czy nie poznaje mnie pani? To ja, Władek Cywiński. — Pocałowałem ją w rękę.

— No, widzę, że pan Władzio — wyjąkała onieśmielona — wyprzystojniał i przytył na ciele. Patrzę, że i koszulę ma nową, i ten krawat na sobie. Musi pracuje w jakimś urzędzie, co?

— Pracuję, pracuję i to na wysokim stanowisku, pani Cendrowska kochana. Jestem dyrektorem, wszystko na mojej głowie. Nawet pani Cendrowska by nie uwierzyła. Ale radę sobie daję, ho, ho!

— E, pamiętam dokumentnie, że pan Władzio zawsze był cwaniakiem i kombinatorem.

— A widzi Cendrosia — zawołałem nieco zaskoczony tą szczerością — że kto ma globus, ten ląduje.

— To się wi i rozumie. Ale może by tak pan dyrechtor skombinował jakąś lepszą robotę dla mojego starego, co? Tak się bidak męczy w tej fabryce.

— Kobito! — wykrzyknąłem przerażony. — Co wy gadacie? Bójcie się Boga! Przecież ja urzęduję w samej stolicy, w Warszawie.

— O, Jezusie! W Warszawie? — zdumiała się Cendrowska. — A gdzież to diabli ponieśli Władzia, aż do tej stolicy?

— Bo tam rząd, tam władza i ministerstwa. Czy wy to rozumiecie, Cendrosiu?

— Rozumie i nie rozumie, ale przecież szkoda, bo chłop strasznie się męczy w tej fabryce. Ale gdzież jemu tam do stolicy!

— No właśnie, no właśnie, moja Cendrosiu — przytakiwałem, przekonany własną argumentacją.

— Ale przecież jakie takie dzieciaki i żonę własną to pan Władzio ma cheba w tej Warszawie? — nagabywała zaciekawiona, siadając na zydelku.

Ale w tej chwili rozległy się w korytarzu donośne klątwy i do mieszkania wtłoczyli się, razem z obładowanym Cendrowskim, stary Dytwach i łysiejący Łuczak z nieznanym osobnikiem, który przedstawił się jako Józio Sobieszczański.

Uściskaliśmy się wzajemnie, wspominając młode lata, które z retrospekcji bywają zawsze błogie i szczęśliwe.

Na prostokątnym stole, nakrytym kretonowym obrusem, pojawiły się butelki z wódką, piwem i obfita zagrycha.

Po kilku głębszych, gdy elastyczniejsze stały się języki, zaczęliśmy sobie przypominać przeżycia z dawnych lat: Łuczak, gdy jako szczeniak nawiał do Gdańska i zadekował się na okręcie odpływającym do Afryki; Dytwach — jak w utarczce bezrobotnych z konnicą na ulicy Głównej został ciachnięty szablą i jak na wsi w ukryciu kurował go owczarz; ja — o służbie swojej w randze podporucznika, o szczęśliwym ożenku, karierze dyrektorskiej i warszawskich pokojach z łazienką; wreszcie pan Józio Sobieszczański — jak gliny nakryli go z przędzą u kochanki, jak przez okno z trzeciaka ześliznął się po lince na podwórko...

Krzyczeliśmy coraz głośniej, rozlewając wódkę z napełnionych kieliszków, gdy nagle pan Józio Sobieszczański zaintonował dyszkantem: „Przemija szybko życie, jak potok płynie czas..." A kiedy w kłębach tytoniowego dymu umilkły ochrypłe głosy, zrobiło się raptem cicho i jakoś nieswojo. Na rozradowanych dotąd twarzach osiadł kopeć smutku i rozżalenia.

— Do kitu z takim interesem! — przerwał milczenie zasępiony Łuczak. — Gdybym zapisał się od razu gdzie trzeba, to i ja byłbym dzisiaj dyrektorem albo innym naczelnikiem, a tak to co? Natyra się człowiek przy warsztatach, jak stary osioł, a w dupę biją, za mordę trzymają, że ani mru-mru, bo zaraz wróg Polski, socjalista! A fabryki pędzą na raty, forsy brak, szmaty zlatują, bryndza zagląda do chaty, jednym słowem, niech to jasna cholera!

Westchnąwszy, spojrzał na mnie z ukosa.

W tej chwili właśnie stary gazer Dytwach zapełnił opróżnione kieliszki.

— No, to, abyśmy!

— Abyśmy!

— Cyk!

— Dryz!

— Bryz!

— Brzęk!

— Że w tyłek biją, to biją, i śpiewać każą, to prawda, ale taka to już polityka — pienił się wzburzony Dytwach, nalewając nową kolejkę. — Zresztą, co tam my, chłopaki!

Siedziałem przygnębiony, ocierając spocone czoło i nagle poczułem omdlewającą duszność i suchość w krtani.

— Parno tu u was, bo parno, moi kochani — wykrztusiłem wreszcie, rozpinając koszulę. — Może by tak okno lub drzwi — prosiłem, rozgladając się po zadymionej izbie.

— Chlapnij piwa — doradził Cendrowski.

— Zdejm pan koszulę — molestował Sobieszczański.

— Rąbnij kielicha — namawiał Łuczak.

— A może Władzio chce klucz do wychodka? — dopytywała zatroskana Cendrowska.

— Nie, nie, dziękuję! Zaraz mi przejdzie — tłumaczyłem się zawstydzony.

Naraz wyskoczył Dytwach:

— E, ty, Cywuś! — syknął wybałuszając przekrwione oczy. — Widzę, że zgrywasz lepszego Kubę. Duszno ci u nas po warszawskich apartamentach, co? A dawnoś to wyszedł spod śmierdzącego strychu? Dygnitarza odstawiasz, inteligenta stroisz i nosem zamiatasz, co? Ej, bo jak bym cię tą rączką... to, jak pragnę zdrowia!...

— Narodzie! Co chceta od Władzia?! — zawołała przerażona Cendrowska, podrywając się z zydelka. — Przyszedł do was jak człowiek, swój do swego i pocałował mnie nawet w rękę. Widziałam, że jadł przez widelca i pił z jednego kielicha, a wy do niego zaraz tak po łobuzersku, że aż wstyd i hańba.

— Uspokój się, stara, i nie trzaskaj dziobem. Przecież Dydzio nie wyjechał bykiem, tylko grzecznie wspomniał dyrektorowi przeszłość klasową. Nic się nie stało i obejdzie się bez przelewu krwi — mitygował żonę podniecony Cendrowski, napełniając puste kieliszki. — No, to Dydzio, cyk! A Cywuś, powiadam wam, chłopaki, jest nasz robociarski, a nie burżuazyjny wypierdek. Duszno mu, bo i mnie duszno, i wam duszno, i wszystkim duszno, do jasnej cholery! Tu żadne drzwi ani okna nie pomogą. Pogoda musi się zmienić, powiadam. Pogoda, a nie co innego — wołał Cendrowski, uderzając pięścią w zastawiony stół.

Uciszyli się wszyscy. Słychać było tylko brzęk podskakujących talerzy i kieliszków.

Siedziałem odurzony alkoholem i dymem, czując, jak serce wzbiera mi uczuciem sympatii do Cendrowskiego i do tych wszystkich oszukanych ludzi.

— Ja zawsze z wami! — krzyknąłem znienacka, chybocząc się niepewnie na nogach. — Ja zawsze z wami i przysięgam, że nigdy nie zdradzę was klasowo, choć jestem dyrektorem! Jak Boga kocham, chłopaki! Ja dziś do was — krzyczałem ochrypnięty — jak do rodzonych braci, choć taki Dydzio z mordą do mnie i wypominkami. Lecz ja rozumiem, że bieda, że nie jest jeszcze tak, jak być powinno...

Naraz przypomniałem sobie zamówionego szofera i jasność napełniła mi serce.

— Więc powiadam — ciągnąłem podniecony — więc powiadam wam, koledzy, że przewiozę was dziś autem z podwórka do placu Wolności i z powrotem. Tak, do placu Wolności i z powrotem. Co wy na to? Powiedzcie, dobrze mówię?

— Sprytnie — zgrzytnął Dytwach, zaciskając pięści.

— Prawidłowo — fasonowo — potwierdził Łuczak, uśmiechając się znacząco.

— Faktycznie, że sympatycznie — potwierdził pan Józio Sobieszczański, odchodząc od stołu.

— I całkiem po ludzku, jak ksiądz na ambonie — zaopiniowała Cendrowska, ocierając załzawione oczy, po czym dodała nieśmiało: — Ale ja tym samochodem, panie Władzio, nie mogę, bo jak to? W życiu taką lemuzyną nie jeździłam, więc ludzie pomyśleliby jeszcze, żem jaka kochanka lub Bóg wi co. Niech pan Władzio przeprosi tego szofera i powie mu, że jednak nie mogę.

— Już maszyna jest — zawołał z podwórka stając przy oknie rozpromieniony Sobieszczański, który wyszedł „na moment" z mieszkania. — Jest, jest, i jaka duża! Można by w niej przekimać z dwiema dziewczynkami. Taką limuzyną bele chto nie rozbija się dzisiaj, chłopaki. Cały drewniak wytrzeszcza gały!

— No, więc zbierajmy się — prosiłem uszczęśliwiony, zwracając się do otoczenia. — Zbierajmy się, i to zaraz.

— Wiesz, Cywuś — zwierzył się zmieszany Cendrowski, przestępując z nogi na nogę — ale mnie samemu, bez żony, to jakoś nie wypada. Sam dobrze to rozumiesz, jako gentelman, co?

— A pan? — zwróciłem się do wchodzącego Sobieszczańskiego. — Jak zamiarujecie, co?

— E, nie żartujcie ze mnie, dyrektorze — czerwienił się, jąkając. — Cóż, do cholery, maszyny nie znam, czy jak? Do kicia wieźli mnie autem, do ślubu autem, więc już do diabła zbrzydły mi te wozy. Gdyby z dziewczynkami, no, to jeszcze, ale tak, jedź pan sobie z Paniem Bogiem!

— A ty? — zwróciłem się zmieszany do Łuczaka.

— Coś ty, zwariował, Cywuś? — zaprotestował zdumiony. — We dwóch taką limuzyną? Szkoda benzyny.

— Jak to we dwóch? — zapytałem. — A Dydzio?

— Ja pierdziu twoje auto! — odchrząknął sprowokowany Dydzio, wysączając resztkę z butelki. — Ja dalej piechtą niż ty swoim autem.

Poczułem się nagle samotny i obcy. Dziwne uczucie żalu i gniewu zarazem napełniło mi serce.

Słaniając się na nogach, zawołałem:

— Jesteście oportunistami! Cierpicie na kompleks niższości i nie potraficie korzystać z dobrodziejstw wolności!

Podali mi zmiętoszoną marynarkę, którą ledwie naciągnąłem na grzbiet i, podtrzymując pod ręce, odprowadzili mnie do dygocącego na gazie auta.

Usadowiony za szybą podciągałem nieporadnie zawiązany krawat, utyskując na ich brak serca i patriotyzmu.

Usłyszałem jeszcze, jak Dydzio, zwrócony do gromadki powiedział tubalnym głosem:

— Przyjechał frajer odstawiać ważniaka, co? Znamy się na takich.

Tyle tylko usłyszałem, bo szofer dodał gazu i w kłębach gryzącego dymu wyprowadził auto za bramę.

Z tomu opowiadań przygotowanego przez Wydawnictwo Łódzkie.

LORDOWIE i TERRORYŚCI

(Dokończenie ze str. 1)

tycznej Europie, aniżeli w samej Anglii. Jak zresztą bardzo wiele rzeczy opatrzonych marką „United Kingdom". Ale to już całkiem inna sprawa. A swoją drogą, nawet londyński „Observer", którego trudno posądzać o brak poszanowania dla uświęconej wiekami tradycji, z melancholią, bo melancholią, ale pewnego dnia w swoim parlamentarnym komentarzu zauważył: **„Niewielu ludzi wyraża dziś zadowolenie z posiadania tak anachronicznego zgromadzenia, ale** (to już chyba na pocieszenie — dop. red.) **również niewielu może się skłonić do tego, by zalecać jego likwidację".**

No właśnie — cała Anglia. Niektórzy mówią — słodka. Powiedzmy.

Nie bez powodu podejrzewam zresztą, że tak jak jest od wieków, kto inny nosi tytuły i panuje a zupełnie inny rządzi. Wszystkie nici, jeśli nie nerwy tego mechanizmu prowadzą w gruncie rzeczy w kierunku niezbyt okazałej uliczki w City, gdzie od z góry 150 lat usadowiła się i wydaje swoje finansowe — i nie tylko — wyroki Stock Exchange czyli londyńska giełda. Tam ubija się transakcje jednym skinieniem dłoni, umownym znakiem, bez niepotrzebnych papierków, tylko przez słowne zobowiązanie — w myśl zasady wypisanej w herbie Stock Exchange — dictum meum patum. Tutaj, na Throgmorton Street zapadają decyzje nie z naszego świata ani życia. Tutaj skinienie dłoni może oznaczać majątek bądź kompletne fiasko, plajtę. Tutaj bardzo często rodzą się decyzje ekonomiczne o nieobliczalnych wręcz skutkach. Dla Wielkiej Brytanii, dla 55 milionów ludzi. Bez ich wiedzy, udziału, aż za często na bakier z ich interesem. Na przestrzeni ledwie paru miesięcy ceny półproduktów chemicznych używanych przez państwo m. in. do wytwarzania energii atomowej wzrosły o blisko połowę. Oczywiście odpowiednio zwiększyły się koszty, które obciążyły podatników, a więc społeczeństwo. Kto zainkasował monopolistycznie narzuconą różnicę, nadwyżkę? Pytanie z gatunku werbalnych. Rozbudowane powiązania, interesy, koligacje, funkcjowanie lobby — czyli grup nacisku umiejących forsować taką a nie inną decyzję, gdzie jak nie tutaj to się wszystko pichci? Jeden z leaderów Partii Pracy, James Callaghan, powiedział, chyba w chwili słabości: **„Władza nie spoczywa już w rękach parlamentu, rząd przerzuca odpowiedzialność ekonomiczną".**

No tak, ale to wydarzyło się wtedy, gdy Labour Party nie znajdowała się u steru nawy państwowej, będąc opozycją Jej Królewskiej Mości.

Też ładnie.

2.

Skończyły się jednak żarty, a zaczynają schody — ktoś powiedział i można to porzekadło dopasować do sytuacji, w której aktualnie przychodzi rządzić Wyspą nie komu innemu, jak tylko Labour Party.

Smukły budynek, o iluś tam piętrach, szkło, aluminium, podjazdy do ukrytych w ziemi garaży. Słowem — super nowoczesność w dodatku niemal w samym sercu londyńskiego City. A jednak stał pusty strasząc ciemnymi oczodołami okien. I tak już jest od ładnych paru lat. Ten wieżowiec — gigant — pod budowę którego wyburzono niemal cały kwartał londyńskiego śródmieścia, gdzie każdy metr powierzchni liczy się dosłownie na wagę złota, straszy do dziś swoją martwotą. Dlaczego?

To pytanie przez ładny szmat czasu przewijało się przez szpalty londyńskich gazet, a stawiano je w dosyć ciekawym kontekście, mianowicie, czy wszystko jest w porządku choćby z moralnego punktu widzenia, jeśli na rozwałkę idzie kilkadziesiąt — starych, bo starych, ale zawsze — mieszkalnych domów, a na ich miejsce staje takie budowlane monstrum — chyba nikomu niepotrzebne — tyle czasu stoi dokumentnie puste. Tylko komunistyczna „Morning Star" poszła jeszcze dalej oskarżając właścicieli owego biurowca o spekulacyjne zamiary. Trafiła w dziesiątkę. Rzecz się bowiem szybko wydała: wieżowiec wzniesiono z myślą o wynajęciu go jakiemuś zasobnemu w kapitały koncernowi. Kiedy się jednak taki nie znalazł właściciele doszli do wniosku, że wydzierżawienie obiektu pomniejszym firmom, nawet jeśliby się takie znalazły, to dla nich żaden interes, bowiem dochody w takim przypadku nie rekompensowały by odpowiednio szybko poniesionych kosztów no i wkalkulowanego w cały interes zysku. Lepiej — wyliczono — opłaci się nawet na lata „zamrozić" cały ten business, płacić tym samym mniejsze podatki za... nie używany przecież budynek. I czekać. Lepszych czasów.

Straszydło na rogu New Oxford Street i Tottenham Court nie jest jednym budynkiem o nie oświetlonych w londyński wieczór oknach. Kiedy się idzie krętymi uliczkami City, raz po raz oko trafia na olbrzymie napisy umieszczone na frontonach gmachów, które jeszcze nie tak dawno były siedzibami handlowych spółek, biurami maklerów, mieściły małe banczki czy kupieckie kantory. **FOR SALE** — DO SPRZEDANIA, oznajmiają tablice. W domyśle: właściciel splajtował, albo małą kapitalistyczną płotkę pożarł taki sam tyle że silniejszy rekin. **FOR SALE** — wołają też tablice rozmieszczone w możliwie najbardziej widocznych miejscach wokół skupiska nowych domów nie tak dawno wybudowanych we wschodniej części Londynu — na East Endzie, choć wiadomo, że sytuacja mieszkaniowa nie należy do łatwiejszych problemów rządu Harolda Wilsona i panującej Jej Królewskiej Mości Elżbiety II.

Wynajm mieszkania kosztuje słono i stanowi niezmiernie poważne obciążenie nawet dla rodziny, w której dwie osoby pracują. Nawet wtedy. U schyłku minionego roku amerykański tygodnik „Newsweek" zastanawiając się nad perspektywami społeczno-ekonomicznymi największych krajów kapitalistycznych w roku 1976, w odniesieniu do Wielkiej Brytanii zauważył: **„Nadal będzie się zwiększać bezrobocie, które w końcu roku 1976 prawdopodobnie osiągnie szczyt dochodząc do 1,3 mln osób".**

W grudniu 1975 roku 4,5 proc. siły roboczej pozostawało w Wielkiej Brytanii bez pracy. Okna nowych domów wzniesionych na East Endzie ciągle straszą pustką.

Więc?

For Sale. Do sprzedania.

W niezbyt też wesołych nastrojach poddani JKM Elżbiety II szykowali się do wkroczenia w rok 1976. To „niewyraźne" samopoczucie znajdowało dla siebie uzasadnienie choćby w rezultatach badań przeprowadzanych przez bardzo liczne tutaj instytuty zajmujące się sądowaniem opinii społecznej, która jest wywracana na przysłowiową nicę, a pytają Cię przy każdej okazji, na każdy jaki sobie tylko możesz wyobrazić i nie wyobrazić temat, z doskoku i w sposób systematyczny. Ja sam, obok niezawodnej w krajach anglosaskich biblii, znalazłem na hotelowym biurku formularz ankiety zawierającej prośbę, zawsze uprzejmą — to należy przyznać, o udzielenie odpowiedzi na kilka pytań. Przedmiotem badania była **„Percepcja tematyki seksualnej w filmie".** Inaczej mówiąc — golizny na ekranie. (Możliwe odpowiedzi w jednej z rubryk: lubię, potępiam, nie mam zdania — właściwe podkreślić).

Wróćmy jednak do rzeczy, a chodzi nie o to, jakim powodzeniem wśród brytyjskiej publiki cieszą się osławione już dwa filmy — „Emmanuelle" i „Historia O", lecz jak to jest z tym samopoczuciem u niegdyś tak dumnych ze swojego Albionu wyspiarzy. No więc ostatnie doniesienia z głębi naszpikowanych komputerami instytutów badających opinie mówiły, że około milion Brytyjczyków liczy się poważnie z tym, że tej zimy niezbyt często będą mogli korzystać z energii elektrycznej jak i cieplnej, a przyczyną tego stanu rzeczy jest — co podaję na odpowiedzialność „Observera" — setki tysięcy nie zapłaconych rachunków. Oczywiście jest to skutek, bo przyczyna — czego też nie ukrywa londyński dziennik — tkwi w dosyć prozaicznym fakcie, a mianowicie w tym, że w porównaniu z rokiem ubiegłym nastąpił znaczny wzrost opłat za korzystanie z dobrodziejstwa prądu i ciepłej wody, dokładnie mówiąc — ceny poszły tutaj w górę o 50 proc.

Mała sprawa? Z pewnością nie.

Za krótko byłem w Wielkiej Brytanii bym mógł tutaj wystawiać własne oceny. Śmieszą mnie też takie niby to poważne doniesienia mające o czymś świadczyć (o czym?) a mianowicie, że najgorzej ubranymi mężczyznami na świecie są właśnie Anglicy, bowiem wydają ledwie 74 pensy tygodniowo na utrzymanie swojego ubioru w należytym stanie. Tak podobno „wyszło" z badań przeprowadzonych przez Brytyjskie Stowarzyszenie Firm Konfekcyjnych. Jestem natomiast skłonny wierzyć ekspertom ekonomicznym z „The Financial Times", którzy nie bez melancholii zauważają, że produkcja brytyjskiego przemysłu liczona na jednego zatrudnionego jest ciągle grubo niższa aniżeli w innych wysoko rozwiniętych krajach Europy zachodniej, że obniżeniu uległa wydajność pracy, a ceny detaliczne w lipcu 1975 roku były o ponad 26 proc. wyższe niż przed rokiem, a mimo to wartość dokonanych zakupów była o 4 proc. mniejsza w porównaniu do poziomu z tego miesiąca w roku 1974.

Zaczynam jednak wierzyć, że Anglików rzeczywiście trudno jest wyprowadzić z równowagi, obojętnie czy wtedy, kiedy — no powiedzmy — flirtują na trawnikach Hyde Parku (spacerujący po jego alejach policjanci nie są w tym przypadku surowymi stróżami moralności. Raczej chronią przed niepowołanymi a ciekawskimi natrętami — i mają rację...) czy też za pośrednictwem gazet dowiadują się, że nie kto inny, lecz „sam" książe Karol złożył wizytę na wystawie prezentującej w Londynie „dokonania" hitlerowskiej Luftwaffe i nawet wymienił parę uprzejmych zdań z nikim innym, jak tylko z „samym" pułkownikiem pilotem Adolfem Gallandem, który zestrzelił 104 alianckie samoloty.

3.

Coś tam jednak pęka w środku „słodkiej" Anglii i to z dużym hukiem. By dojść do takiego wniosku, wystarczy właściwie zasiąść wieczorem w wygodnym fotelu i wbić oczy w telewizor, przełączając go najlepiej na kanał, na którym emituje swój program TV Niezależna — czyli „Thames". W każdym wieczornym dzienniku, ide o gruby zakład, przynajmniej połowa emisji poświęcona będzie kolejnym atakom bombowym i podobnym aktom terroru. I to nie w Irlandii Północnej, w Belfaście, ale w samym sercu Londynu — na Oxford Street, w krętych uliczkach City. Ktoś tam bierze za coś bolesny rewanż.

Irlandczycy — no tak, tam już jest taka sytuacja, że trzeba było skierować wyborowe oddziały Specjalnych Sił Powietrznych — spadochroniarzy ćwiczących walkę na dalekich tyłach wroga. No, tak ale — kto jest wrogiem na huczących od wybuchów bomb uliczkach City?. Jakby mało kłopotów było z tym całym kociołkiem irlandzkim, gdzie protestanci grożą,

Foto: CAF

że wymordują katolików, a od drudzy mówią, że zrobią to samo z tymi pierwszymi, to teraz zaczynają się ruszać Szkoci. Już im nie w smak, nie podoba się, że w Edynburgu z łaski JKM Elżbiety II wiedzie żywot malownicza w samej rzeczy instytucja mieniąca się rządem. Wdziewają swoje krzaciaste tartany, przy pojękiwaniu kobz wołają, że Anglicy jeszcze raz chcą ich okraść, tym razem z ropy naftowej, którą Opaczność schowała pod dnem Morza Północnego. Mało tego — mogą Szkoci, to czemu nie mogą Walijczycy? Wprawdzie ci ostatni nie krzyczą o niepodległości, ale czemu nie — dobra byłaby federacja, autonomia. Czemu nie?

Na razie tylko w Irlandii Północnej, na ulicach Londynu — że nie taki diabeł straszny, nawet gdy pod bokiem centrala MI — 5 czyli brytyjskiego kontrwywiadu, nie mówiąc już o przesławnym Scotland Yardzie, pękają bomby. Leci szkło, niestety — są ofiary. Na lotnisku Heathrow nie wystarczy zwykła już na aerodromach całego świata aparatura kontrolna, wykrywająca „te rzeczy". Na wszelki przypadek — robi się z doskoku taką małą osobistą kontrolę. Nieprzyjemnie? No cóż... W Izbie Gmin deputowany z ramienia Szkockiej Partii Nacjonalistycznej woła: **„Każdy, kto przypuszcza, że zadowolimy się czymś innym, jak tylko niepodległością Szkocji, żyje w krainie czarów".**

Gdzie się podziałaś, dawna słodka Anglio?

I jak tu się dziwić, że Agata Christi napisała swoją ostatnią powieść.

KRZYSZTOF POGORZELEC

„LILI MARLEEN"

(Dokończenie ze str. 1)

— ...Jesienią 1945 roku wrośnięty w gęsty tłum stałem naprzeciw tej rodzinnej rezydencji Kruppów. Z dala dochodziły detonacje. Tłum z trudem hamował wściekłość, Gott strafe England, niech Bóg pokarze Anglię, ci przeklęci Anglicy wykorzystują sytuację, żeby nas wyeliminować ze światowych rynków i wykończyć po wieki wieków... Już wiedziano, że w tej niewielkiej willi rozsiadł się w fotelu colonel Douglas Fowles, żeby wygłosić do generalnej dyrekcji „Kruppa" krótkie przemówienie.

— Oświadczam uroczyście z upoważnienia rządu Jej Królewskiej Mości, że zakłady Kruppa zostaną zdemontowane do ostatniej śrubki, a fundamenty wysadzone w powietrze...

Jak to już dawno.

Dziś willa stoi jak stała, ale za nią w lewo i w prawo na przestrzeni wielu kilometrów bucha dym i ogień z monstrualnych rozmiarów królestwa stali i żelaza. Jakże niepozorna jest ta willa, siedziba Kruppów, w porównaniu do książęcych rezydencji Scheiblerów, Konów nic już nie mówiąc o faraońskich pałacach rodziny Poznańskich w mieście Łodzi. Jednak Kruppowie więcej mieli oleju w głowie. Woleli nie kłuć robociarzy w oczy przepychem i luksusem. Przy fabrycznej bramie żyli skromnie. Takie przynajmniej stwarzali pozory.

Lale Andersen wzięła ostatni akord...wie einst Lili Marleen... i Krawczyk zgasił tranzystor.

— Ta Andersen zmarła dwa lata temu na wyspie Langgeoog. Kruppa też już nie ma.

— Zdaje się, że przebywał jakiś czas w więzieniu, coś mi się obiło.

Krawczyk przytaknął. Teraz dopiero spostrzegłem w jasno oświetlonej recepcji, że twarz Krawczyka, który mógł mieć ze sześćdziesiątkę, pocętkowana jest drobniutką siecią niebieskawych punkcików. A więc i on, jak tylu innych Polaków z Westfalii, rąbał kiedyś węgiel na jakimś niemożebnie niskim i trudnym pokładzie. Twarz go zdradza. Tych odprysków nic nigdy z czoła i policzków nie usunie. Te ślady noszą wszyscy z tej dawnej kadry weteranów górnictwa.

— Tak jest, Alfreda Kruppa skazano na 12 lat więzienia za przestępstwa wojenne. Skonfiskowano mu też majątek.

— Chwileczkę, 12 lat, czy pan się nie myli.

— Niech pan będzie spokojny, wiem swoje, w Essen się urodziłem, historię Kruppów mam w małym palcu. Polską też się interesuję, zawsze to ojczyzna mojego fatra. Jak otworzono w Essen wystawę „Polen 74", pojechałem i dokładnie to sobie obejrzałem. Moje uznanie, maszyny takie tam były, że i Krupp lepszych nie zrobi. Dobrze żeście nie wyskoczyli z tym waszym dolorismus.

Spojrzałem pytająco.

— No, jakże tu powiedzieć, dolorismus, tak tu nazywamy ciągłe obnoszenie się krzywdą, cierpieniami i takimi rzeczami. Tu tego nie lubią. Pokazaliście na wystawie przemysł, sztukę, folklor i to było ładne i rzeczowe.

Recepcjonista podsunął mi książkę telefoniczną.

— Niech pan tylko sprawdzi, ile w tej książce polskich nazwisk i przy jakich ludziach. Polacy zajmują tu teraz nie takie stanowiska, chciałem powiedzieć Niemcy polskiego pochodzenia. Są doktorami, profesorami, inżynierami, a jakże, to nie to co kiedyś. A pamiętam, jak w Essen wołano na polskie kobiety, rot-blau Polakfrau, bo te kobiety nosiły jeszcze takie kolorowe ludowe stroje. Byliśmy tu obcym elementem. Wymyślano nam na każdym kroku, jak dziecko rozrzuciło w pokoju zabawki i po sobie nie posprzątało, to matka wołała: „polnische Wirtschaft". Dawne to już czasy, ale przykro wspominać. Gelsenkirchen, Bottrop, Gladbeck, nie do wiary ile tam kiedyś osiedliło się polskich rodzin. Niech pan się kiedy wybierze na mecz „Schalke 04" zobaczy pan ilu w tym klubie gra byłych Ślązaków i Poznaniaków. Jeszcze dziś na Bottrop mówią tu „kleine Warschau". Ja panu powiem, że w okolicach Essen mieszka pół miliona niemieckich obywateli polskiego pochodzenia.

— Pół miliona?

— Javohl, mein Herr, to oficjalne dane, sam to wyczytałem we „Frankfurter Allgemeine Zeitung" a to przecież bardzo poważna gazeta. Mam teraz dużo czasu, czytam, interesuję się różnymi rzeczami. Teraz są w Zagłębiu Ruhry Portugalczycy na dole, są Serbowie, Hiszpanie, Turcy, ale w żadnym razie nie Polacy. Tak, tak Polacy poszli ostro do przodu po ostatniej wojnie.

Zmieniłem może zbyt obcesowo temat.

— Właśnie sobie przypomniałem, że Kruppa zwolniono z więzienia grubo przed terminem.

— A co pan myślał. Te grube ryby zawsze się ze sobą dogadają, tylko biedakom, tym na dole, to wiatr zawsze w oczy wieje. Es stimmt, Krupp przesiedział w twierdzy w Landsberg, w tej samej w której Hitler napisał ten swój „Mein Kampf" do 1951 roku. Zwolniono go kiedy zaczęto wojować w Korei i Amerykanie raptem sobie przypomnieli jakie to dobre armaty kiedyś Krupp fabrykował. Dano mu pozwolenie, żeby zaczynał, dano pożyczki, tak że szybko ten interes na powrót rozkręcił. Nie było z tym kłopotów. Niech pan nie zapomina, że mieszkało koło kruppowskich zakładów 120 tysięcy „Kruppianer", wszystko fachowcy, że nigdzie się takich nie znajdzie. Ale szczęścia to Kruppowi nie przyniosło.

— Czyżby, taki majątek?

— Milionerzy też potrafią być smutni i nieszczęśliwi. Coś o tym wiem. Syn mi opowiadał, a on jest ważną figurą i obraca się w tym lepszym towarzystwie, że Krupp po wojnie przygasł, coś w nim się załamało, nie ten człowiek, żył w samotności i nikogo nie przyjmował. Całkiem zdziwaczał od tego siedzenia w ciemnym pokoju. Miał dwie żony i obie go rzuciły. Jego syn Arndt, to piąte kruppowskie pokolenie, też mu się nie udał. Stary mawiał, że Arndt to dziwkarz, pijaczyna, że jest miękki jak babski tyłek i że jest ludzką kreaturą. Stary dał Arndtowi rentę i kazał mu się z Essen wynosić do wszystkich diabłów.

— Więc Krupp odszedł?

— Tak jak powiedziałem, już go nie ma, stary wyciągnął nogi. Byłem nawet na jego pogrzebie. Zabrał mnie syn, który jest inżynierem u Kruppa i ważną figurą, ma te znajomości i musi się pokazywać. Pamiętam, że Krupp leżał w dębowej zwykłej trumnie, po bokach stali w hallu górnicy w mundurach i z pióropuszami u czapek. Jak pochód ruszył, a lało wtedy niemożebnie i przemokłem do suchej nitki, to zagrały wszystkie fabryczne syreny w całym Zagłębiu Ruhry. Wszędzie na minutę odłożono robotę i tak żegnano ostatniego z Kruppów. Niech pan się nie dziwi, ta rodzina coś dla tego zagłębia znaczyła. Może za dużo było koło tego szumu, ale to już nie moja sprawa. Kruppów nie ma, firmę prowadzi towarzystwo akcyjne, to jest teraz taki koncern, a kto za tym stoi, tego już nie wiem. U Kruppa wyrabia się teraz ciężkie maszyny, koparki, ale armat tu już się nie fabrykuje. Tak mi syn opowiada, ale bo ja wiem.

Zamilkliśmy i nasze spojrzenia spotkały się.

Krawczyk wręczył mi klucze od pokoju. Wyglądał na zażenowanego.

— Wszystko jedno zresztą. Niech pan o Kruppach nie myśli. Byli, poszli, miejmy nadzieję, że już nigdy nie wrócą.

JAN BĄBIŃSKI

OPINIE

OPERA w TELEWIZJI

Dwuaktowa opera komiczna Pergolesiego, która za kilka lat obchodzić będzie 250 rocznicę swych narodzin, została pierwotnie napisana jako **intermezzo**, czyli modne wówczas krótkie, komiczne sceny muzyczno-wokalno-pantomimiczne, grywane w przerwach opery poważnej, dla urozmaicenia i zmiany nastroju publiczności. Temu zwyczajowi, biorącemu początek w Neapolu, w pierwszej połowie XVIII w. hołdował Giovanni Pergolesi, przygotowując uroczystą premierę swojej opery poważnej — „Wspaniały więzień", 28 sierpnia 1733 r. Dla jej uświetnienia i urozmaicenia „skreślił" krótkie intermezzo „Służąca Panią", mające być akompaniamentem do dyskusji, rozbawionej na przerwie publiczności operowej. Los jednak zrządził inaczej o wartości i przyszłych sukcesach obydwu oper, granych pamiętnego wieczoru. Dziś, już żaden teatr nie wystawia „Wspaniałego więźnia", a tytuł tej opery wymieniają tylko specjalistyczne encyklopedie operowe. Za to „La Serva Padrona" od swojej prapremiery, nie tylko z powodzeniem jest wystawiana do dnia dzisiejszego na każdej ambitnej scenie opery kameralnej, ale jej najistotniejsza wartość polega na tym, że w historii scenicznych dzieł muzycznych dała początek **operze komicznej**, stając się typem dzieła muzycznego samym w sobie.

Była także „La Serva Padrona" pierwowzorem dla następnych wielkich kompozytorów, którzy w swej sławie opery komicznej przerośli mistrza Pergolesiego (Mozart, Rossini, Donizetti, Wolf-Ferrari, Lortzing, Auber, Adam... aż do „Amelii idącej na bal" Menottiego). Jest to zatem dzieło o dużej wartości, zarówno samej w sobie, jak i wartości historycznej.

Dlatego rzeczą wielce chwalebną jest realizacja przez zespół TVP tego dzieła, zwłaszcza, że w polskiej obsadzie i to wcale nie gorszej od tej, którą kilka lat temu widzieliśmy w TV ze słynną Anną Moffo. Do pełnego sukcesu telewizyjnej wersji opery przyczynili się zarówno znakomici soliści, kierownictwo muzyczne, jak i reżyseria.

Elżbieta JAROSZEWICZ, absolwentka PWSM w Warszawie, śpiewająca od 6 lat z powodzeniem na scenie Teatru Wielkiego w Palermo, zachwycała nas swoją muzykalnością i poczuciem prowadzenia pięknej frazy muzycznej, co mieliśmy już okazję podziwiać w jej telewizyjnym recitalu pieśni polskiej. Ale nie tylko jej piękny liryczny sopran o sprawnej technice wokalnej był zaiste powodem trafnego wyboru w obsadzeniu partii Serpiny. Wyjątkowy talent aktorski Elżbiety Jaroszewicz wydawał się być jakby stworzony do tego typu roli scenicznej, zwłaszcza, że telewizyjna adaptacja komicznej opery kameralnej pozwoliła na uchwycenie najmniejszego gestu czy niuansu mimicznego, tak bardzo w tym wypadku ważnych.

Bernard ŁADYSZ, mający za sobą bogatą karierę artysty operowego (od partii Borysa po Don Pasquale), był na pewno nie tylko najtrafniejszym, ale chyba jedynym kandydatem do skompletowania dwuosobowej, doborowej obsady w tej operze. Jego niekłamany dowcip i humor sceniczny, ożywiały każdą frazę muzyczną, notabene pięknie zaśpiewaną. A jest to dla basa nie najwygodniejsza partia, wymagająca nie tylko znakomitej techniki wokalnej, ale i dużej rozpiętości skali głosu. Jego Uberto w nieprzeszarżowanej, ale naturalnie dowcipnej interpretacji sprawił, że opera ta nie wydawała nam się skostniałą, 250-letnią staruszką, lecz czymś żywym, naturalnym.

Józef GRUBOWSKI miał niezbyt proste zadanie. Opera sama w sobie jest dziełem dość krótkim. Trzeba zatem wykorzystać każdy muzyczny fragment w akcji scenicznej, aby nie było luk, w dodatku, żeby akcja była dowcipna, co przy wielokrotnie powtarzających się tekstach wymaga wiele pomysłów ze strony reżysera. Józef Grubowski należy do tych nielicznych reżyserów operowych, którzy znają nie tylko warsztat aktorski, ale potrafią „spoglądać" w partyturę opery, rozumiejąc ją.

Jedynym mankamentem — moim zdaniem — była źle obsadzona niema rola służącego Vespone. Edward PAWLAK był wprawdzie niezły, ale tylko w ramach możliwości aktora operowego, co jak na tę aktorsko-mimiczną rolę było za mało. Widziałbym tu raczej kogoś z naszych znanych aktorów komediowych. Do słabszej strony zaliczyłbym także nie najciekawszą scenografię.

Całość muzycznego sukcesu dzieli niewątpliwie Orkiestra PR i TV pod znakomitą dyrekcją Włodzimierza KAMIRSKIEGO, który udowodnił tym samym, że zespół ten potrafi coś więcej od akompaniowania prostych, nie zawsze ciekawych szlagierów piosenkarzom.

Na zakończenie propozycja dla TVP: a może by tak pomyśleć o podobnej realizacji któregoś z naszych wielkich, narodowych dzieł operowych?

WALDEMAR PAWŁOWSKI

KRYTYKA

SŁAWOMIR ŚWIONTEK

RZECZ POETYCKA – 1975

Dotychczasowe prezentacje łódzkiego środowiska literackiego na łamach przeróżnych almanachów, okazjonalnie wydawanych tomów czy przypadkowych numerów czasopism, grzeszyły zwykle niepełnością informacji, brakiem rzeczowej analizy, a nierzadko ograniczały się — wychodząc od partykularnie pojętego regionalizmu — do ujmowania dorobku tego środowiska w perspektywie jego usługowości względem macierzystego regionu. Tego wszystkiego z powodzeniem unika kolejny tom „Rzeczy poetyckiej", pomyślany jako prezentacja łódzkiego środowiska **poetyckiego**. Nareszcie w tego typu publikacji mówi się o twórcach łódzkich w sposób normalny i rzeczowy. Normalny — bo nie upatruje się w nich „artystów regionalnych" o z góry przypisanych funkcjach; rzeczowy — bo analizy ich dorobku artystycznego dokonywane są przez autorów kompetentnych, posługujących się w sposób odpowiedzialny warsztatem krytycznoliterackim i widzących opisywaną przez siebie twórczość nie w kontekście koterii środowiskowej, ale w planie współczesnych doświadczeń poetyckich i w ramach szeroko pojętej tradycji historycznoliterackiej i kulturowej. Toteż wielce szczęśliwy wydaje się być dokonany przez redakcję omawianego tomu dobór autorów, którym powierzono syntetyczne opracowanie sylwetek łódzkich poetów. Warto przy tym zauważyć, że znakomita większość tychże autorów to absolwenci łódzkiej polonistyki, z których wielu należy do kadry młodych literaturoznawców, zatrudnionych i pracujących w Uniwersytecie Łódzkim. Dzięki ich pracom, zamieszczonym w nowo opublikowanej „Rzeczy poetyckiej", czytelnik otrzyma nie tylko miarodajny i pełny obraz łódzkiego środowiska poetyckiego, ale również może doznać bulwersującego przekonania, że w Łodzi istnieje krytyka literacka z prawdziwego zdarzenia. Jeśli czytelnikiem tym będzie ponadto — co w tym wypadku wielce prawdopodobne — pisarz łódzki, to być może zaprzestanie on utyskiwań na brak krytyki w Łodzi i poszukiwań w jej braku przyczyny własnego „zapoznania".

Pochwały pod adresem publikowanych w książce rozpraw krytycznych nie mogą zwolnić oczywiście recenzenta od kilku uwag polemicznych w stosunku do prezentowanych w nich opinii i przyjętych metod postępowania krytycznoliterackiego. Ale niech to będzie przyjęte z przeświadczeniem, że rozprawy są tej wagi, iż na polemikę zasługują.

Książkę otwiera interesujący esej Kazimierza Świegockiego analizujący pewne elementy poetyckiego widzenia świata w twórczości Stanisława Czernika. Nasuwa się jednak jedno generalne zastrzeżenie, które by można mieć w stosunku do rozważań Świegockiego. Wiele z jego uwag na temat poetyckiego światopoglądu Czernika dotyczyć by mogło w równej mierze leśmianowskiej wizji świata, choć przecież między tymi dwiema poetykami istnieje różnica oczywista i intuicyjnie niemal wyczuwalna. Ponadto wydaje się, że czernikowski stosunek człowieka i natury nie jest tak bezkompromisowy, jakby to chciał widzieć Świegocki. Stąd może wziął się unik krytyka, dokonany przy omawianiu pięknego wiersza „Arche", którego analiza pozostaje niepełna i niedokończona, jak gdyby z obawy, że wnioski mogłyby zaprzeczyć konkluzjom podsumowującym artykuł.

Innemu poecie starszego pokolenia, Marianowi Piechalowi, poświęca swoje uwagi Urszula Aszyk. Jej szkic, dotyczący głównie wątków tematycznych poezji Piechala, ma charakter raczej encyklopedyczno-informacyjny, z pewną próbą problematyzacji zagadnień.

Ziemowit Skibiński, pisząc o twórczości Antoniego Kasprowicza, zastanawia się nad przyczynami i historyczno-politycznymi przesłankami, które z poety proletariackiego uczyniły anachoretę...

Interesujące z punktu widzenia metakrytyki jest postępowanie „badawcze" Mieczysława Kucnera, który w omawianym tomie pisze o twórczości Jana Koprowskiego, Macieja Józefa Kononowicza i Stanisława Cieślaka. Programowa naukowość języka Kucnera ponosi porażkę przy interpretacji poszczególnych faktów literackich. Założone jak gdyby z góry dążenie do uogólnień, prowadzi do tego, że konkluzje krytyka nie zawsze pokrywają się z rzeczywistą zawartością analizowanego materiału literackiego. Wydaje się, że Kucner, patrzący na twórczość poetycką przez pryzmat „scjentyficznego widzenia świata", za bardzo wierzy w obiektywność takiego oglądu, który w konsekwencji staje się niejednokrotnie przesycony większym subiektywizmem niż to bywało w krytyce intuicyjnej. Interpretacja sformułowania Koprowskiego: „Czas nie goi, lecz nowe zadaje nam rany" w kontekście „teorii gier i strategii, teorii asubstancjonalnej i funkcjonalnej" oraz jako „Bitwy Życia", którą na użytek naszych rozrachunków ze światem wymyślili cybernetycy" — to chyba nadużycie krytyka, który bardziej pamięta o swoich naukowych lekturach, a mniej dostrzega to, co faktycznie zapisane jest w materiale literackim.

Jerzy Tynecki kwestionuje „sprawiedliwość" opisu świata w twórczości Jana Huszczy, poety oscylującego wiecznie między liryką i satyrą, który zresztą niekiedy pragnie, aby go nie brać na serio. Toteż Tynecki nie zawsze na serio twórczość jego traktuje, zapominając o tym, że zadaniem krytyka powinno być poważne potraktowanie tego pragnienia pisarza.

Wspomniany już Ziemowit Skibiński daje się również poznać jako subtelny znawca twórczości Igora Sikiryckiego, i Tadeusza Chróścielewskiego. Szczególnie trafną wydaje się być analiza poezji tego ostatniego, chociaż przypisanie autorowi „Karty powołania" postawy „błazna i kapłana w jednej osobie" nie jest chyba najszczęśliwszym podsumowaniem jego dorobku.

Konrad Witold Tatarowski w sposób trafny określił charakterystyczne cechy poezji Jana Czarnego, choć można byłoby polemizować z jego interpretacjami poszczególnych utworów (szczególnie wiersza „Biegnąca"). Niemniej krytyk wykazuje dużą wprawę w stosowaniu narzędzi analitycznych, co w sztuce interpretacji jest rzeczą szczególnie istotną.

Odmienny sposób podejścia do materiału poetyckiego prezentuje Jerzy Poradecki w eseju o twórczości Jarosława Marka Rymkiewicza. Punkt ciężkości przeniesiony jest tutaj z analizy stylistycznej na tematyczną, z indywidualnego obrazu poetyckiego na uniwersalność nawiązań archetypowych, z autonomicznej struktury utworu na jego kontekst kulturowy. Inna rzecz, że twórczość Rymkiewicza takie widzenie prowokuje, ale przecież wybór metody zależy od indywidualnej decyzji krytyka. A w realizacji swoich założeń Poradecki jest niezwykle konsekwentny i to do tego stopnia, że nie cofa się przed stwierdzeniem, iż przyjęte tego rodzaju założenia mogą się sprawdzać jedynie w odniesieniu do całej twórczości, natomiast są mniej przydatne do analizy konkretnego utworu.

Dojrzałą, podpartą precyzyjnym posługiwaniem się aparatem naukowym i samodzielnością widzenia krytykę literacką, reprezentują w książce artykuły czołowego łódzkiego krytyka średniego pokolenia, Henryka Pustkowskiego. Jego szkice o poezji Jerzego Waleńczyka i Zbigniewa Kosińskiego ujmują we właściwych proporcjach twórczość tych dwóch interesujących poetów i znajdują dla nich miejsce należne im na mapie poetyckiej Polski. Jest to tym bardziej cenne, że polska krytyka literacka dotychczas tego nie uczyniła.

Nie uczynił też tego Stanisław Cieślak w odniesieniu do twórczości Bernarda Sztajnerta, choć wydaje się, że poezja tego autora prowokuje do czegoś więcej niż do porównania go do alpinisty, któremu „nie imponują nowe podejścia".

Bardziej sprawiedliwą ocenę poezji Romana Łobody daje Ziemowit Skibiński, którego artykuł poświęcony autorowi „Rzeźbienia horyzontu" jest chyba najlepszy ze wszystkich „skibinscianów" zawartych w książce.

Twórczością poetycką Jerzego Wilmańskiego zajmuje się Grzegorz Gazda. Podobnie jak Pustkowski, wychodzi od analizy konkretnych utworów, by przejść do syntetyzujących uwag o charakterze poezji Wilmańskiego. Ale rzecz dziwna: mimo że interpretacje utworów są wielce dyskusyjne (dlaczego krytyk motywy poetyckie uparcie nazywa konwencjami?), to uwagi podsumowujące są niezwykle trafne i słuszne. Pozostanie to niewyjaśnioną tajemnicą warsztatu Gazdy-krytyka.

Andrzej Starzycki w krótkim szkicu o poezji Marka Wawrzkiewicza potrafił we właściwy sposób określić ewolucję widzenia poetyckiego autora od swoiście konstruowanej malarskości do intelektualizacji obrazu poetyckiego w imię eksponowania raczej sensu rzeczy niż ich postaci.

Bożena Pikala w umiejętny sposób analizuje motywy ustawicznie persewerujące w wyobraźni poetyckiej Mieczysława Michała Szargana, aby w końcu znaleźć dla tej twórczości formułę „pędu ucieczki w pozorną bezkonfliktowość", ucieczki w dziecięce przeżycie natury będące „wypadkową błogości i strachu".

Józef Duk zastanawia się nad fenomenem, jakim jest poezja Jerzego Wawrzaka, próbując określić, na czym polega łatwo zauważalna rozbieżność między liryką a twórczością prozatorską tego autora. Wydaje się jednak, że uchwycenia tej odrębności nie można dokonać ograniczając się jedynie do analizy warsztatu artystycznego Wawrzaka, ale należałoby się pokusić o widzenie szerszych kontekstów pisarstwo to determinujących.

Niełatwego zadania podjął się Grzegorz Kościński pisząc o liryce (?) Jerzego Jarmołowskiego. Z pewnością prześledzenie motywu drzewa, jego różnorodnych wcieleń i „mitologizacji", nie jest wystarczające do wyjaśnienia tajemnic tej poezji, niespodzianki, jaką ona często ze sobą przynosi, i odrębności stylistyki poetyckiej pisarza. A właśnie analiza stylistyczna, a raczej wyjście od niej, mogłoby doprowadzić do określenia tego, co jest najistotniejsze w liryce Jarmołowskiego: igrania ze stylem i konwencjami uprawianych gatunków, dialektykę ustawicznego kompromitowania i akceptacji podmiotu lirycznego, stosowania autoironii wplecionej nierozłącznie w egotystyczną autoakceptację, destrukcję stosowanych norm przy jednoczesnej ich realizacji itp. To dopiero pozwolić by mogło na pełniejszą charakterystykę oryginalności świata poetyckiego Jarmołowskiego, którego twórczość jest zjawiskiem na tyle złożonym, że nie da się otworzyć zbyt prostym kluczem, tym mniej wytrychem.

Artykuł Grażyny Szymczyk na temat poezji Mieczysława Kucnera trzeba przeczytać kilka razy, by wyśledzić wszystkie zjadliwości w nim zawarte. Ale mimo że recenzent to uczynił, to jednak nie udało mu się rozstrzygnąć pytania, czy większa porcja zjadliwości dotyczy przedmiotu jej krytyki, czy też własnego sposobu opisu tego przedmiotu. Tradycje krytyki polskiej preferują raczej pierwszy typ postępowania krytycznoliterackiego, tym bardziej więc należy cenić (choć nie polecać) samobójczą metodę Szymczyk zmagania się z materiałem.

Jedynym krytykiem spoza środowiska łódzkiego jest Leszek Szaruga piszący o twórczości Andrzeja Biskupskiego. Jego interesujące uwagi koncentrują się głównie wokół autotematyczności tej poezji, która to postawa jest czymś bardzo charakterystycznym dla Biskupskiego, a jej implikacje w oryginalny sposób są przez poetę rozwiązywane.

Postawa ta zresztą znajduje swój — już nie poetycki — wyraz w publikowanym w omawianej książce studium pt. „Specyfika komunikatu poetyckiego z punktu widzenia teorii informacji i cybernetyki". Zajmuje się w nim Biskupski problemem zawartości informacyjnej przekazu poetyckiego. Nie sposób tu podejmować dyskusji z tą niezwykle bogatą w przemyślenia pracą. Jedna więc tylko generalna uwaga. Mimo programowego zastrzeżenia autora, że praca będzie dotyczyć przede wszystkim problemu dekodowania znaczeń, zajmuje się on bardziej właśnie sposobami ich kodowania w komunikacie poetyckim. Widoczne jest to chociażby w wyjściowej definicji wieloznaczności sformułowania poetyckiego. Polisemię traktuje bowiem Biskupski jako relatywność przekazu poetyckiego względem stanów lub sytuacji rzeczywistości, gdy tymczasem w planie dekodowania należałoby ją traktować jako konsekwencję różnorodności odczytywań przez różnego odbiorcę w różnych momentach historycznych. Przy tym wszystkim wiara Biskupskiego w możliwość pełnego obliczenia bitów informacyjnych tekstu poetyckiego i rozszyfrowania do końca jego znaczeń (nawet tych nie zapisanych) każe mu zapominać o zjawisku entropii, która często właśnie w przekazie poetyckim ulega swoistemu zakodowaniu. W sposób niezamierzony polemiką ze stanowiskiem Biskupskiego są w recenzowanym tomie uwagi Jacka Wesołowskiego, rzucone przy okazji omówienia poezji Konrada Frejdlicha: „Poetycki komunikat zaprzecza najczęściej sensowi komunikacji. W samym założeniu języka sztuki zawarty jest rozdźwięk zamierzeń nadawcy i kształtu konkretnego odczytu. Jednostkowa wizja świata, komunikowana w tekście, jest nie tyle wizją twórcy, ile wizją jego wizji przysługującą odbiorcy".

Prócz artykułu Biskupskiego w nowej „Rzeczy poetyckiej" znajdzie czytelnik jeszcze dwa inne studia o tematyce ogólniejszej: Mieczysława Kucnera „Filozoficzne podstawy widzenia poetyckiego" i Mirosława Ostoi Ochockiego „Proces twórczy i świadomość poety" — obydwa warte nie tylko lektury, ale i polemiki. Ponadto Zbigniew Dominiak omawia tutaj twórczość najmłodszej generacji poetów łódzkich oraz tych, którzy opublikowali mniej niż trzy zbiory wierszy.

Artykuły poświęcone poszczególnym pisarzom poprzedzone są zawsze trzema wierszami poety, którego twórczość podlega następnie krytycznemu omówieniu. I tu trzeba wspomnieć o znakomitej robocie zespołu redakcyjnego obecnej „Rzeczy poetyckiej" (A. Biskupski, J. Jarmołowski, M. Kucner), który nie tylko potrafił wyszukać krytyków znających się na swoim fachu, ale również z wielkim znawstwem i dużym wyczuciem umiał wybrać z dorobku poetyckiego pisarzy łódzkich utwory, które rzeczywiście należą do rzędu najciekawszych i najlepszych. W ogóle cała książka zredagowana jest niezwykle starannie, a zastrzeżenia można mieć jedynie do działu „Noty o autorach", w którym redaktorzy starają się określić specjalność (?), fach (?), czy może rolę społeczną twórców zamieszczonych tekstów. Bo dlaczego — na przykład — Starzycki określony tam jest jako (aż? tylko?) filolog, a Szymczyk jako (tylko? aż?) krytyk? A jeśli Kościński jest poetą i filologiem zarazem, to dlaczego „tytuł" filologa odebrany został J. M. Rymkiewiczowi?

Ale to drobiazgi. Rzeczą najważniejszą jest, że po raz pierwszy czytelnik polski ma do czynienia z rzeczową i wszechstronną prezentacją łódzkiego środowiska poetyckiego, jak również ma okazję zetknąć się z młodą łódzką krytyką literacką.

Rzecz Poetycka. Środowisko. Wybór i opracowanie: Andrzej Biskupski, Jerzy Jarmołowski, Mieczysław Kucner. Redaktor: Ida Tarkowska, Łódź 1975, Wydawnictwo Łódzkie.

STUDENCI

PAWEŁ TOMASZEWSKI

STAĆ NAS CHYBA NA WIĘCEJ?

ILE JEST W ŁODZI TEATRÓW STUDENCKICH? Działało ich w ubiegłym roku dziesięć: ST **„Akme"**, ST **„Acheron"**, ST **„Extra"**, ST **„Cytryna"**, ST **„Pstrąg"**, ST **„Retorta"**, **„Teatr 77"**, ST **„Quant II"**, ST **„Orfa"** (działa w Zgierzu przy Wyższej Szkole Pedagogicznej) i ST **„Verbum"**. Dały w sumie **siedem premier**, z których nie wszystkie, niestety, stały na wysokim poziomie — nawet jak na możliwości teatru amatorskiego. Dwa spośród wyżej wymienionych teatrów brały udział w imprezach i festiwalach zagranicznych — mam tu na myśli „Teatr 77", który wystąpił na Międzynarodowym Festiwalu Młodego Teatru w Nancy i na La Biennale di Venezia oraz ST „Pstrąg", który występował w Szegedzie i w Parmie.

Łódź odwiedziły natomiast zagraniczne zespoły teatralne. Być może byłoby ich więcej, ale Łódzkie Spotkania Teatralne odbędą się dopiero pod koniec kwietnia br., a także zmieni się ich charakter. Nie będzie to już konkurs o tytuł najciekawszego spektaklu, a jedynie przegląd podsumowujący całoroczną działalność w ogólnopolskim ruchu teatralnym.

STUDENCKIE STOWARZYSZENIE JAZZOWE. Powołanie SSJ było inicjatywą, która zaowocowała bardzo szybko, wykazując jak wielkie możliwości drzemią w studenckim ruchu kulturalnym. SSJ powstało równo rok temu i jak do tej pory ma już na swoim koncie zorganizowanie szeregu bardzo ciekawych koncertów takich zespołów jak: **„Union"**, SPPT **„Chałturnik"**, **„Zbigniew Namysłowski Group"**, **„Joe Pentzlin Trio i Helen Sachs"**. Dodać do tego trzeba przeprowadzony przegląd łódzkich grup muzycznych oraz powstanie łódzkiej edycji warszawskiego festiwalu **„Jazz Jamboree"**. Bilans wcale niemały. A spora w tym zasługa współtwórcy i aktualnego przewodniczącego SSJ — **Macieja Jaworskiego.**

W studenckim klubie „NA PIĘTRZE" od września 1975 r. w każdą środę odbywa się pod patronatem SSJ giełda płytowa, ciesząca się coraz większym powodzeniem wśród kolekcjonerów płyt i miłośników muzyki.

„Na piętrze" działa również **Studencki Klub Plastyki.** Organizuje spotkania i prelekcje odbywające się w Muzeum Sztuki przy współudziale znanych twórców i ludzi zawodowo związanych z problemami sztuk plastycznych. Organizowane są wspólnie z PWSSP giełdy plastyczne przed „Magdą" (jakże daleko jesteśmy w tej dziedzinie za Warszawą czy Krakowem), myśli się o stworzeniu „Na piętrze" mini-galerii.

KLUBÓW STUDENCKICH jest szesnaście: trzy kluby środowiskowe (jeden z nich — „Kalafaktor 41" ma swoją siedzibę w Pabianicach), trzy kluby Politechniki Łódzkiej, trzy — Akademii Medycznej i sześć — Uniwersytetu.

Wielu studentów twierdzi, że brakuje Łodzi większej ilości klubów środowiskowych, takich choćby jak **„Siódemki"**, jaki jednak sens miałoby tworzenie nowych, skoro działalność tych, które już istnieją, nie przebiega tak, jak powinna? Kluby studenckie powinny być bazą do prowadzenia działalności nie tylko o profilu kulturalnym, ale do realizacji całego programu **SZSP**, powinny być miejscem pracy grup twórczych, imprez wydziałowych, spotkań, dyskusji i koncertów, rozrywki. Tak, niestety, nie jest z braku odpowiedniego sprzętu i środków finansowych.

Przykładem, jak trudności finansowe paraliżują działalność studenckich organizacji może być **Amatorski Klub Filmowy „Arcus"** przy Politechnice Łódzkiej, który nie prowadzi systematycznej działalności ze względu na brak lokalu, stołu montażowego, a nawet kamer i taśm.

Powstał projekt utworzenia **Studenckiego Centrum Kulturalnego**, którego bazą stałyby się **„Siódemki"**. Mówi mi o tym przewodniczący Komisji Kultury ZL SZSP **Andrzej Podgórski:**

— Chcielibyśmy wyremontować piwnice budynku przy Piotrkowskiej 77, co w połączeniu z salą zajmowaną dotychczas przez klub i pomieszczeniami Zarządu stworzyłoby odpowiednią bazę do prowadzenia szerokiej i wielostronnej działalności. My ze swej strony dołożymy maksimum wysiłku, by Studenckie Centrum Kulturalne istniało nie tylko w sferze planów, ale potrzebna nam jest pomoc.

W łódzkim środowisku działają trzy **DYSKUSYJNE KLUBY FILMOWE.** A ponieważ cieszą się one dużym powodzeniem, postanowiono wpisać do kalendarzyka imprez kulturalnych jeszcze jedną, stworzoną na wzór studenckich premier teatralnych (te będą oczywiście nadal kontynuowane): **studenckie premiery filmowe w kinie „Stylowy"**. Studenci będą mogli uczestniczyć w projekcjach filmów, które nie weszły jeszcze na ekrany kin. Pierwszą tego rodzaju projekcją był film „Zaklęte rewiry" J. Majewskiego.

Politechnika Łódzka i **Uniwersytet Łódzki** posiadają chóry, a Politechnika także **Zespół Polskich Tańców Regionalnych.** Działalność ich napotykała w ubiegłym roku na wiele trudności, głównie organizacyjnych, mimo to miały one szereg udanych występów: koncerty w Filharmonii Łódzkiej, teatrze „Rozmaitości", tournée Akademickiego Chóru PŁ w Anglii. Obecnie, po przeprowadzeniu naboru nowych członków, można mieć nadzieję, że zaktywizują jeszcze bardziej swoją działalność i staną się bardziej widoczne w kulturalnym życiu Łodzi.

JUWENALIA. Akademickie Święto Wiosny miało prezentować szerszemu ogółowi obraz życia studenckiego od tej przyjemniejszej strony, od strony rozrywki i zabawy. Jednocześnie starano się przeprowadzić dużą ilość imprez wśród studentów poszczególnych uczelni.

— Doświadczenia minionego roku — mówi Andrzej Podgórski — **pokazały, że nie jesteśmy w stanie udźwignąć ciężaru zbyt wielu imprez skierowanych na zewnątrz naszego środowiska. Rozbijało się to także o obojętność łodzian lub w najlepszym przypadku o ich dystans, z jakim odnosili się w maju do naszych poczynań. Myślę, że te spostrzeżenia uzasadniają zmianę generalnej koncepcji tegorocznych Juwenaliów, które adresowane będą bardziej do samych studentów. Jednocześnie zamierzamy w większym niż dotychczas stopniu oprzeć się na inicjatywach wypływających, „z dołu", a więc od rad wydziałowych i uczelnianych SZSP.**

ROK 1975 nie był ani lepszym, ani gorszym od lat poprzednich — przyniósł co prawda sporo cennych osiągnięć i sukcesów, ale wystąpiły równocześnie trudności, które nie w każdym wypadku udało się przełamać, stąd też daleki byłbym od stwierdzenia, że poziom studenckiej kultury był właśnie taki, jaki byśmy sobie tego życzyli. Stać nas na więcej!

„TEATR OTWARTY"

Foto: W. Parys

Związek Literatów Polskich powołał do życia teatr, który nazwano **„Teatrem Otwartym.** Już sama nazwa wywołuje pewien intelektualny ciąg skojarzeń. „Otwartość" bowiem stanowi w dzisiejszym świecie sztuki problem wielostronnie dyskutowany. Np. w estetyce mówi się o „zamkniętym" lub „otwartym" charakterze dzieła, by wyjaśnić sytuację estetyczną, w której spełnia się akt odbioru sztuki. Kiedy słuchamy muzyki, oglądamy twórczość plastyczną, uczestniczymy w stawaniu się spektaklu, dostrzegamy we współczesnej sztuce istnienie dzieła otwartego, któremu ostateczną formę nadaje interpretator w momencie, kiedy spełnia rolę pośrednika.

W odniesieniu do **Teatru Otwartego** „otwartość" rozumiana jest także jako możliwość poszukiwań twórczych autorów dramatycznych w konfrontacji z realizacją sceniczną oraz jako możliwość dyskusji nad ostateczną propozycją interpretacyjną. Zadanie jakie postawił sobie **Teatr Otwarty** i jego kierownik artystyczny, **Karol Obidniak,** to inspiratorska rola wobec dramaturgów. Zadanie to nakłada na teatr ogromną odpowiedzialność i obliguje do przemyślanego operowania strukturą teatralną, aby konfrontacja dzieła teatralnego z innymi komponentami spektaklu wypadła jak najkorzystniej. Jest to praktyczna realizacja otwartości. Podobnie rzecz ma się z polemicznym charakterem **„Teatru Otwartego.** Dyskusja z odbiorcą nie jest tylko kategorią estetyczną, a stanowi praktyczny element działalności parateatralnej.

Teatr Otwarty ma swoją siedzibę w **Domu Kultury „Elty"** i jego twórczość jest przeznaczona dla konkretnego odbiorcy, pracownika tych zakładów.

Pierwszą pozycją tego teatru była sztuka (debiut dramaturgiczny) **Jerzego Wawrzaka „Dom na Zaciszu",** sięgająca do problematyki współczesnej, o formie melodramatycznej, z punktu widzenia problemu moralnego wysoce dyskusyjna. Toteż ten określony odbiorca mógł swobodnie w swoim gronie z udziałem autora, aktorów i reżysera pomówić o sztuce i problemach, które ze sobą ta sztuka niesie. I trzeba powiedzieć, że forma dyskusji, jak i jej treść świadczyły o głęboko przeżytym temacie przez odbiorcę.

Obok tych problemów występuje równie silnie zagadnienie osadzenia **Teatru Otwartego** w tradycji tego typu działań. Historia teatru łódzkiego obfituje w podobne przedsięwzięcia. Wystarczy przywołać takie teatry jak **„Popularny", czy „Scena Robotnicza".** Jednak odmienność sytuacji społeczno-politycznej, odmienność wartości estetycznych usuwa możliwość wszelkich porównań.

Pozostaje tylko ideowość **„Sceny Robotniczej",** która może mieć funkcję inspiratorską w stosunku do działań **Teatru Otwartego.** Pozostaje więc rozległy teren zadań jakie ma **Teatr Otwarty** wobec dramaturgów, wobec odbiorcy-uczestnika i... wobec siebie.

„Czytając wasze role
Badawczo, gotowi do zdumienia,
Cieszcie się nowym, wstydźcie się starego!"

KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI

Foto: W. Parys

„DNI TURBINÓW"

Bohaterem sztuki „Dni Turbinów" Michała Bułhakowa jest rok 1918 na Ukrainie, ściślej w Kijowie. Groteskowy hetman miota się jeszcze wydając żałosne rozkazy, Kijów jest otoczony jutro, pojutrze rewolucja wejdzie do miasta, wejdzie do domu Turbinów. Wielkich słów o honorze, odpowiedzialności, cnotach obywatelskich słyszy się już coraz mniej, każdy myśli o sobie, o uratowaniu dobytku, siebie... Jeszcze tylko na szumnych kolacyjkach wydawanych w domu Aleksego Turbina, pułkownika artylerii wznosi się toasty za hetmana, za Wielką Ukrainę, która uratuje cara i Rosję. I chociaż car już nie żyje, to przy libacji nie trudno jest wskrzesić mit przeszłości plotkę biorąc za prawdę. Większość domowników z Aleksym Turbinem, jego bratem Mikołajem i z pułkownikiem Włodzimierzem Talbergiem nie wierzy już nie tylko w hetmana ale i w Wielką Ukrainę. Dla jednych jest to klęska przekonań, światopoglądu, kryzys moralności — dla drugich okazja do pośpiesznego obrachunku: wszystko się zawaliło. nikt nie ma racji trzeba więc myśleć tylko o sobie i... uciekać! Gdziekolwiek, chociażby do Berlina.

W powieści „Biała Gwardia", według której Bułhakow napisał sztukę „Dni Turbinów", małe tchórzostwo wielkich ludzi przeplata się z karierowiczostwem i cwaniactwem. W obliczu klęski starego świata niektórzy własny kryzys moralny biorą za kryzys moralności i przepowiadają nadejście wielkiej nocy. Ostatnie godziny przed przyjściem „nowego", ostatnie godziny wczorajszych słów i gestów każdy wykorzystuje na swój sposób. Pułkownik Włodzimierz Talberg przypomina żonie co jest mu winna, wydaje ostatnie polecenia i ucieka bez niej. Hetman też zwieje i to znacznie mniej elegancko w niemieckim mundurze, bez pożegnań. Ostatnie godziny starego czasu pokazują w ostrym świetle małe charaktery, małych ludzi. Trzeba wykorzystać każdą minutę, Leonid Szerwiński porucznik osobisty, adiutant hetmana postanawia wykorzystać sprzyjającą mu sytuację w domu Turbinów i po ucieczce pułkownika Talberga składa wizytę żonie, uczestniczy w przyjęciu mocno zakrapianym i zdobywa się na odwagę wyznania uczuć Helenie Talberg. Oczywiście nie miałby tej śmiałości, gdyby pułkownik — oficer wyższy rangą — był w domu.

Świat karierowiczów Talbergów skończył się, ale skończył się także świat Turbinów, rodziny mocno osadzonej w realiach historycznych, wierzącej w słuszność starego porządku i ładu. Turbinowie przeżywają autentyczny dramat, nie widzą możliwości wyboru. Aleksy Turbin, brat Heleny Talberg podjął decyzję desperacką, jedynie możliwą dla niego, dla oficera odpowiedzialnego jeśli już nie za losy całej ojczyzny, to przynajmniej za życie podległych mu żołnierzy. Wybrał najtrudniejszą ucieczkę od rzeczywistości — wydając rozkaz „rozejścia się do domów" swoim żołnierzom, sam zdecydował się zostać na polu bitwy. Nie wszyscy więc skorzystali i chcieli skorzystać z pomocy interwentów niemieckich a i sami Niemcy nie każdego chcieli przygarnąć. Dla pułkownika Aleksego Turbina klęska hetmana była spowodowana zdradą, głupotą i niedołęstwem, nie chciał przyjąć do wiadomości innego rozwiązania. Był świadkiem historii ale jej nie zaakceptował.

Bułhakow doskonale oddaje atmosferę ostatnich tragikomicznych dni byłych władców Ukrainy. Bułhakow jest zjawiskiem wyjątkowym nie tylko w literaturze radzieckiej. Sławę światową zyskał przede wszystkim znakomitą powieścią „Mistrz i Małgorzata" pisaną w latach 1928—1940. „Biała Gwardia", powstała wcześniej i jest, jeśli chodzi o stronę formalną, zapowiedzią dzieła życia, wielkiej powieści o odwiecznej walce człowieka ze złem — „Mistrza i Małgorzaty".

Teatr im. Jaracza po udanej realizacji sztuki Bułhakowa „Molier" wystawił „Dni Turbinów", za obie pozycje repertuarowe niezależnie od uwag krytycznych winniśmy wdzięczność zespołowi, publiczność Łodzi ma okazję poznania dzieł jednego z najwybitniejszych pisarzy radzieckich. Spektakl „Dni Turbinów" w reżyserii Jana Maciejowskiego ma nierówne tempo, są sceny pełne nastroju, zwarte, dobrze grane jak chociażby dialogi z udziałem Alicji Zomer (Helena Talberg) i Macieja Małka (Włodzimierz Talberg) jest kilka scen zbiorowych dobrze rozwiązanych i nieźle granych, w których uczestniczą: Andrzej Głoskowski (świetny w roli Wiktora Myszłajewskiego), Ireneusz Kaskiewicz (Mikołaj Turbin) i Mariusz Leszczyński (Aleksander Studziński). Ale jest w tym spektaklu wyraźne pęknięcie między scenami realistycznymi rozgrywanymi w konkretnych warunkach historycznych a wątkiem romansowym, który, nie wiem dlaczego, Maciejowski potraktował niczym scenki z „Porwania Sabinek". Bułhakow elementy groteski wpisał w określone, ściśle historyczne realia, tak jest w jego powieści „Biała Gwardia" i w sztuce „Dni Turbinów". Groteska obok, a raczej równorzędnie z rzeczywistością dla bohaterów tragiczną. Farsa jako gatunek dramaturgiczny pomniejsza wymowę utworu, spłyca psychologiczne portrety postaci i świadomie fałszuje. Te miłości płytkie, byle jakie, przeżywają ludzie a nie kukiełki.

Świetną rolę zagrała Alicja Zomer, Helena Talberg w jej interpretacji była kobietą niezwykle wrażliwą, pełną niepokoju i głęboko tragiczną. Aktorka doskonale prowadzi dialog, świetnie się rusza, umiejętnie przechodzi z nastroju klęski osobistej do groteskowych scen zalotów. Krzysztof Różycki (porucznik Szerwiński) jest zabawny ale bardziej pasuje do „Porwania Sabinek" niż do „Dni Turbinów".

Scenografia Stanisława Bąkowskiego nie podobała mi się, ten niby salon Turbinów był nijaki, scenograf zgromadził na scenie trochę starych mebli, kawałki ścian, resztę wypełnił kotarami, ani to lamus, ani siedziba bogatych Turbinów — Talbergów. Wnętrze gabinetu hetmana, w którym wypadło grać Ryszardowi Sobolewskiemu pasowało bardziej do operetki niż do pałacu wielkiego władcy Ukrainy w przededniu jego upadku.

Mimo powyższych uwag krytycznych, spektakl ogląda się z dużym zainteresowaniem, przede wszystkim świetny dialog Bułhakowa, niepowtarzalna atmosfera ostatnich tragikomicznych dni Turbinów — Talbergów i elementy groteski sprawiają, że widz z dużym napięciem oczekuje na rozwój wypadków scenicznych.

STEFAN KUBICKI

Teatr im. S. Jaracza „Dni Turbinów" Michała Bułhakowa. Przekład: Janiny Kaczmarewicz — Fedorowskiej i Haliny Zakrzewskiej. Reżyseria: Jana Maciejowskiego. Scenografia: Stanisława Bakowskiego. Opracowanie muzyczne: Piotra Hertla.

FEERIA ASCEZY

O Robercie Bressonie mówi się zwykle jako o wielkim samotniku kina. Przydomek ten określa niezwykle indywidualną i oryginalną drogę twórczą tego artysty, autora filmów, z których każdy był wydarzeniem artystycznym, tworzącym ów ciąg dzieł składających się na dzieje sztuki filmowej w jej nurcie najszlachetniejszym, najbardziej wysublimowanym. Ta ostatnia cecha decyduje o tym, że filmy Roberta Bressona nie spotykały się i chyba nie będą się spotykać z sukcesem wśród skomercjalizowanej publiczności kinowej. Wymagają one bowiem określonej, wobec sztuki w ogóle, postawy, postawy intelektualnej i moralnej kontemplacji. W kręgu sztuki filmowej nie jest ona jej codziennością. Wymogi te stawiały wszystkie filmy Bressona, z których godzi się przypomnieć choćby tylko „Dziennik wiejskiego proboszcza", „Ucieczkę skazańca", „Kieszonkowca", „Proces Joanny d'Arc", „Na los szczęścia, Baltazarze!" i „Łagodną".

Ostatni film Roberta Bressona „LANCELOT" skierowano u nas do rozpowszechniania w sieci kin studyjnych. I słusznie, tam liczyć może na publiczność, dla której piękno i wielkość tego filmu będą bezwzględne. To właśnie, między innymi, twórczość Bressona potwierdza prawdę, że sztuka Wielkiej Rozrywki ma także swe nurty elitarne — tak jak każda sztuka.

„Lancelot" przywołuje pamięć jednego ze źródeł światowej literatury, powstał z ducha XII-wiecznych bretońskich opowieści o rycerzach Okrągłego Stołu, spisanych we Francji legend o królu Arturze i jego rycerzach, których praźródeł szukać trzeba we wcześniejszych celtyckich opowieściach. A więc filmowy „Lancelot" jest trawestacją jednego z najstarszych wątków europejskiej mitologii, jest przy tym filozoficzną medytacją, która na owej trawestacji nie poprzestaje. Służy ona przerzuceniu wielkiego pomostu między przeszłością i teraźniejszością, odnalezieniu i konstatacji prawd ludzkich, które są wieczne. „Lancelot" bowiem to nie tylko przepiękna rekonstrukcja zamierzchłych dziejów, to wielka metaforyczna przypowieść o niezmienności ludzkich spraw, marzeń, dążeń i namiętności, przypowieść o przyjaźni, miłości i zdradzie, o wiecznym dążeniu do dobra i do zła. „Lancelot" to analiza tych sił, które powodują, iż dzieje świata wytycza szlak zbrodni, gwałtu i wojen jak gdyby przeciw ludziom, a przecież przez nich wybrany.

Wszystko to odnalazł Bresson tam w przeszłości, w awanturniczej, mistycznej opowieści rycerskiej, której głównym motywem wydaje się być sprawa wiary, miłości i honoru. O swej wizji i swych intencjach tak mówi sam Bresson:

„Wymyśliłem to średniowiecze nie dla czczej fantazji. Chodziło mi o to, że wzruszyć można jedynie poprzez uczynienie wydarzeń pochodzących z przeszłości teraźniejszymi".

„Lancelot" Bressona jest filmem dalekim tym literackim i kinowym wizjom średniowiecza, które wywieść można raczej z tradycji opowieści Waltera Scotta niż np. z Szekspira. Bressonowski ascetyzm formalny uzyskał w „Lancelocie" swą wersję najdoskonalszą. Przekroczył próg, poza którym jak gdyby a'rebours stał się feerią ascetyczności.

Film przedstawia zakończenie przygód rycerzy Okrągłego Stołu już po wyprawie po Graala, moment, w którym pierwszy rycerz ówczesnego świata, Lancelot, powrócił zwyciężony, gdy jednocześnie osiągnął nową, dojrzałą świadomość wartości i praw życia. I poza wszystkimi „drugimi sensami" filmu Bressona jest on oczywiście również opowieścią o wielkiej miłości i obowiązkach rycerskich, jest artystyczną wizją średniowiecznego świata i jego ludzi. Niezwykłość i uroda tej wizji, uzyskana poprzez wspomnianą feerię ascetyczności, nie znajduje żadnych porównań. „Lancelot" Bressona jest dążeniem do osiągnięcia piękna absolutnego, nie podporządkowanego ni anegdocie, ni rekonstrukcji malowniczej egzotyczności obrazów przeszłości. To piękno absolutne ma nieść ideę dzieła jakby ponad czy nawet poza fabułą. Idea ta zawarta jest w obrazach i sytuacjach symbolicznych, którym nadany jest walor znaczeń ukrytych lecz wyrazistych.

Wielka przygoda i romans rycerski oczyszczone zostały z wszelkich napięć i intrygi przynależnych tego typu opowieściom, choć przecież wielka namiętność i intryga rządzą światem tu przedstawionym. Tkwią one w świadomości widza, któremu przede wszystkim jednak dane są do kontemplacji wypreparowane sytuacje symboliczne, dla których nazwy i określenia pochodzą z arsenału wszystkich ludzkich uczuć i doświadczeń. Jako przykład tylko niech posłużą sceny miłosne, niezwykła z formalnego punktu widzenia pewnych konwencji obrazowania scena turnieju, czy wreszcie metaforyczny sens zbroi rycerskiej i funkcji samej czynności jej zdejmowania i wkładania oraz cała dźwiękowa warstwa filmu wypełnione właśnie chrzęstem owej zbroi.

Samotny w swych twórczych poczynaniach asceta sztuki obrazów realizacją „Lancelota" potwierdził wielkość swych artystycznych poszukiwań i działań, jeszcze raz utwierdził nas w przekonaniu, że jego dzieła wypełniają te pokłady idei i myśli, które decydują o intelektualnym i artystycznym miejscu sztuki filmowej wśród najdoskonalszych dokonań ludzkiego ducha.

EWA NURCZYŃSKA

NIE TYLKO HISTORIA

DORA NADAJE

Już ponad rok temu miałem okazję śledzenia nadawanego przez telewizję francuską programu „Rote Kapelle". Patrzyłem na bohatera tej audycji, przysłuchiwałem się parogodzinnej dyskusji, coraz wyraźniej uświadamiając sobie, że najmniej chodziło tu o rekonstrukcję minionych zdarzeń, zaś przede wszystkim liczyły się inne sprawy. Polityczną rzeczywistość z dawnych czasów wpisywano bowiem w konkretną polityczną rzeczywistość współczesności, a że w jednej i drugiej płaszczyźnie dyskusji zachodziły między uczestnikami zasadnicze różnice postaw, więc i atmosfera była gorąca. Przypomniałem sobie tę audycję czytając pamiętnik węgierskiego komunisty Sándora Rádo, który był szefem grupy radzieckiego wywiadu w Szwajcarii w czasie II wojny światowej, wydany ostatnio przez „Książkę i Wiedzę" (1975) pod tytułem „Dora nadaje...".

O walce wywiadów w latach II wojny światowej pisze się wiele, ale kiedy zabierają głos jej autorzy, bardziej niż kiedy indziej mamy prawo mniemać, że czynią to w jakimś poważnym celu, nie tylko dlatego, aby opowiedzieć nieco sensacyjnych szczegółów o nieznanych sprawach. Miał swoje cele bohater wspomnianej audycji telewizyjnej, choć dzisiaj były one inne, niż niegdyś, miał je nawet Walter Schellenberg, kiedy w swych pamiętnikach przedstawiał swoich niedawnych podwładnych, jako „fajnych chłopców" toczących pasjonującą walkę, według wszystkich reguł gry bohaterów sensacyjnych powieści. Miał też swój cel S. Rádo, kiedy zdecydował się na napisanie tej książki.

Jego nazwisko i pseudonim od jakiegoś czasu pojawiały się coraz częściej na łamach prasy, w publikacjach pamiętnikarskich i wydawnictwach naukowych. Skoro wiele napisano nieprawdy, aktor wydarzeń nie mógł milczeć:

„Nie dbałem o to — pisze dziś — by moje nazwisko stało się głośne. Ale liczne, rojące się od kłamstw i wypaczeń publikacje o naszej grupie i o mnie nie pozwalają mi milczeć. Chwyciłem więc za pióro, aby pokazać fakty tak, jak wyglądają naprawdę".

Autor wziął za pióro — to brzmi bardzo prosto, ale musiał przecież wykonać sporą pracę. Do reguł wywiadowczej gry należy przecież, że jej aktorzy nie zachowują tekstów, przesyłanych do centrali i w ogóle dbają o to, by pozostawić jak najmniej pisanych śladów swojej działalności. Należało więc skonfrontować wspomnienia z... materiałami archiwalnymi. Inaczej S. Rádo nie mógłby się posługiwać tekstami własnych depesz, które dziś mają już tylko wartość historyczną, wtedy jednak mogły mieć zasadnicze znaczenie wojskowe i polityczne. Podjął ten trud nie dlatego, by spierać się z tym, co dotąd napisano o nim i jego grupie, o jakieś mało istotne szczegóły, ale po to, by podjąć zasadniczą polemikę, nie pozbawioną ostrza politycznego. Mianowicie w publikacjach o działalności wywiadu radzieckiego w Szwajcarii, zwłaszcza w napisanej przez dwóch francuskich dziennikarzy książce, opatrzonej znamiennym tytułem: „Wojnę wygrano w Szwajcarii", lansuje się czytelnikom pogląd, jakoby — jak pisze S. Rádo — Związek Radziecki „zawdzięczał zwycięstwo w drugiej wojnie światowej nie bohaterskim walkom Armii Czerwonej, lecz działalności szwajcarskiej grupy radzieckiej służby wywiadowczej".

Przegranie pierwszej wojny światowej niemieccy imperialiści tłumaczyli nie zwycięstwem wojsk ententy, ale antywojennym ruchem w Niemczech". Komu służą tego rodzaju koncepcje, wskazywać palcem nie trzeba, nie dziwimy się też, że węgierski autor, któremu przypadła do spełnienia ważna rola w latach II wojny światowej wystąpił przeciw nim z całą otwartością.

Warto pamiętać o tych sprawach, kiedy bierze się tę książkę do ręki, aby śladem autorskiej relacji uczestniczyć w pasjonującej grze politycznej, która toczyła się w Szwajcarii w dobie zmagań z hitleryzmem. Aczkolwiek S. Rádo wyjaśnia tu wiele, w szczególności co się tyczy kontaktów szwajcarsko-niemieckich i nacisków hitlerowskich Niemiec na neutralną Szwajcarię, podaje wiele nieznanych szczegółów, przecież nie objaśnia wszystkiego. Tajemniczo rysuje się postać Rudolfa Rösslera, używającego pseudonimu „Lucy", niemieckiego antyfaszysty, który od swych berlińskich przyjaciół o nieujawnionych nazwiskach uzyskiwał bezcenne informacje, które przysparzały tylu kłopotów himmlerowskim tajnym służbom.

„Rudolf Rössler zabrał do grobu swą tajemnicę, nikomu do dziś dnia nie udało się jej wyjaśnić. Istnieją pogłoski — pisze S. Rádo — jakoby na krótko przed śmiercią opowiedział synowi Schniepera, swego szwajcarskiego przyjaciela, o ludziach, którzy przekazywali mu niesłychanie cenne informacje z hitlerowskiego sztabu".

Podobno Rössler pozwolił opublikować te informacje dopiero po upływie dwudziestu lat. Tymczasem ledwie w rok po śmierci Rösslera „młody człowiek, który poznał prawdę o nim i jego kontaktach, zginął w wypadku samochodowym. W ten sposób los zawyrokował o tajemnicy". Niewielu żyje już aktorów wojny wywiadów, toczącej się w Szwajcarii podczas II wojny światowej, ale wiele tajemnic wciąż czeka na ujawnienie. Zachęcam więc do przeczytania pasjonującej książki S. Rádo, która nie tylko relacjonuje sensacyjne wydarzenia, ale daje ważki materiał do przemyśleń.

J.G.

CENTRUM TAJNEGO FRONTU XIV

ANDRZEJ BLAJER

WYSŁANNIK PREZYDENTA

Nadchodziło lato 1943 roku, a wraz z nim zbliżał się okres ciężkich zmagań na polach bitewnych ZSRR, basenu Morza Śródziemnego i Afryki. Dla Niemców okres ten miał być szczególnie gorący. Sytuacja na Wschodzie groziła w każdej chwili katastrofą. Linia frontu stale przesuwała się ku zachodowi. Armie hitlerowskie nie wytrzymywały wciąż rosnącego naporu wojsk radzieckich. W Afryce zdziesiątkowane oddziały korpusu gen. Rommla i jego włoskich sojuszników z najwyższym trudem, resztkami sił starały się powstrzymać natarcia wojsk angielskich. Nad południowymi Włochami zawisła tymczasem realna groźba alianckiej inwazji.

Naczelne dowództwo niemieckie widząc zbliżające się niebezpieczeństwa usiłowało przeciwdziałać. Najtrudniej przedstawiała się sytuacja na froncie wschodnim. Po okresie krwawych zmagań kampanii zimowej 1942/43, w wyniku których front znacznie przesunął się na zachód, a armia niemiecka poniosła ogromne straty w ludziach i sprzęcie, obie walczące strony zajęły w kwietniu 1943 roku pozycje obronne. Dla nikogo jednak nie ulegało wątpliwości, że jest to przysłowiowa cisza przed burzą. A ta miała nadejść już niebawem.

Hitler, zdając sobie sprawę, iż aktualnie Niemców nie stać było na prowadzenie ofensywy nie tylko na całej długości frontu, ale nawet na jego południowym skrzydle postanowił podjąć próbę przejęcia inicjatywy strategicznej w rejonie Kurska. W połowie kwietnia zatwierdził więc plan dużej operacji opatrzonej kryptonimem „Cytadela", która miała zadecydować o losach wojny na Wschodzie. Zgodnie z jego założeniami wojska niemieckie miały zadać Armii Czerwonej zajmującej pozycje na Łuku Kurskim potężny cios i w wypadku uzyskania powodzenia — rozwinąć ofensywę w kierunku na wschód. Obok tego czysto wojskowego celu planowana operacja miała również do spełnienia ważny cel polityczny, jakim było podreperowanie zachwianego autorytetu Wehrmachtu i władz Rzeszy zarówno w oczach własnego narodu jak i sojuszników. Toteż na tym odcinku frontu Niemcy rozpoczęli gromadzenie poważnych sił złożonych z 50 dywizji, liczących 900 tysięcy ludzi, 2.700 czołgów i wspieranych z powietrza przez 2.000 samolotów. „Operacja nie może się nie udać — stwierdził Hitler na naradzie dowódczej — ponieważ samo odejście na podstawy wyjściowe byłoby już klęską". Powodzenie całej operacji zależało więc od stopnia przygotowania sił i środków, planu dalszych działań oraz właściwego wyboru momentu i kierunku uderzenia, aby osiągnąć jak największe zaskoczenie.

Niemałe zadania spoczywały więc w związku z tym na kontrwywiadzie, którego obowiązkiem było takie zabezpieczenie operacji, aby żadne informacje o przygotowaniach do niej nie przeniknęły do przeciwnika. Można sobie zatem wyobrazić, w jakie zdenerwowanie i bezsilną wściekłość musiały wprawiać szefów Abwehry oraz VI departamentu RSHA (kontrwywiad SS) meldunki na temat tych ściśle tajnych przygotowań przesyłane przez grupę „Werthera" do Szwajcarii, a stamtąd przez „Dorę" do Moskwy. Nic dziwnego, iż oblicze SS—Brigadeführera Waltera Schellenberga nie miało w tych dniach optymistycznego wyrazu. Zniknął gdzieś jego charakterystyczny uśmiech, a twarz stała się poważna i zatroskana. Nie bez powodu. Rezultaty spotkań z pułkownikiem Massonem były w efekcie znacznie skromniejsze niż się tego spodziewał. Mimo obietnicy udzielenia szerokiej pomocy w zlikwidowaniu radzieckiej sekcji wywiadowczej w Szwajcarii, grupa „Dory" nadal działała bez przeszkód. Do tego jeszcze te ciągłe naciski Himmlera nakazujące podjęcie zdecydowanych kroków w sprawie tajemniczych przecieków informacji z centrali OKW, OKH itd. Ale jak spełnić te żądania, skoro nie wiadomo właściwie, gdzie kryje się wróg.

Siedząc za biurkiem w swej kwaterze głównej na Wilhelmstrasse 102, szef kontrwywiadu SS snuł niewesołe rozmyślania. Jakby mało miał tych wszystkich kłopotów, musiał mu spaść na głowę jeszcze jeden. Oto jego agenci w Szwajcarii ustalili, iż w listopadzie 1942 roku pojawił się w Bernie pewien Amerykanin, nazwiskiem Allen Dulles, będący osobistym przedstawicielem prezydenta Roosevelta w Europie. Dla Schellenberga wszystko było jasne — pojawił się nowy konkurent w grze, tylko czego on tam szukał. Szef kontrwywiadu SS wiedział bowiem, że oficjalny cel misji Dullesa jako „specjalnego wysłannika prezydenta USA do spraw europejskich" jest tylko atrapą. Prawdziwy cel jego przybycia był na pewno inny. Ale jaki? Kim właściwie był ów Amerykanin? Na te pytania należało jak najszybciej uzyskać odpowiedź, zanim wykona się następne posunięcia w grze.

Allen Welsh Dulles, późniejszy wszechwładny szef CIA, urodził się w 1893 roku w rodzinie duchownego prezbiteriańskiego. Studiował w Nowym Jorku, Princeton i Paryżu, po czym jako nauczyciel języka angielskiego przebywał w Indiach, Chinach i Japonii. W 1916 roku wstąpił do służby w dyplomacji, a właściwie do jej tajnej służby bowiem już w następnym roku został oddelegowany do Berna celem prowadzenia działalności wywiadowczej skierowanej przeciwko Austrii i Niemcom Wilhelma II. Na wersalskiej konferencji pokojowej Dulles znalazł się w składzie delegacji amerykańskiej. Następnych kilka lat spędził na placówkach dyplomatycznych w Berlinie, Istambule, po czym wróciwszy do USA rozpoczął pracę w kancelarii adwokackiej „Sullivan i Cromwell" na Wall Street, gdzie urzędował także jego starszy brat, późniejszy sekretarz stanu, John Foster Dulles.

Niebawem dzięki wspomnianej kancelarii adwokackiej Allenowi Dullessowi udało się wejść do zarządu amerykańskiej filii niemieckiej firmy bankowej „Schroeder". Prezesem jej był baron Kurt von Schroeder, który po dojściu Hitlera do władzy zyskał poważne wpływy w kręgach partyjnych i rządowych III Rzeszy, został m. in. generałem SS w randze SS-Gruppenführera. Toteż nic dziwnego, że przez następnych 15 lat Dulles miał możność dokładnie poznać stosunki polityczne i przemysłowe panujące w Europie, a zwłaszcza w Niemczech. Kiedy prezydent USA, Franklin Roosevelt, powołał do życia Office of Strategic Services (OSS — Urząd Służb Strategicznych), jego szefem mianował generała Williama J. Donovana, z którym Allen Dulles współpracował od grudnia 1941 roku.

I tak oto, mając 49 lat, Dulles pojawił się w Szwajcarii w charakterze dyplomaty z misją nawiązania bliskich kontaktów z władzami szwajcarskimi. Schellenberg nie miał bynajmniej złudzeń, że jest to jedyny cel jego misji. Jednak innych, a zwłaszcza prawdziwego celu, nie był jeszcze wówczas w stanie ustalić, mógł jedynie snuć przypuszczenia. Ot, choćby odnośnie momentu pojawienia się Dullesa w Szwajcarii. Nie był on chyba przypadkowy, gdyż w sześć dni po jego przybyciu do Berna w Afryce Północnej wylądowały oddziały alianckie. Było to jednocześnie zapowiedzią dalszych inwazji, tym razem już na kontynencie europejskim. Schellenberg z niepokojem patrzył na mapę wiszącą na ścianie jego gabinetu. Sytuacja w basenie Morza Śródziemnego w maju i czerwcu 1943 roku przedstawiała się dla III Rzeszy zdecydowanie niepomyślnie. Jej dalszy rozwój w dotychczasowym kierunku czynił coraz bardziej realną groźbę alianckiej inwazji na południu Włoch, której skutki mogły być trudne do przewidzenia. Należało więc pilnie przypatrywać się posunięciom tajemniczego dyplomaty z Waszyngtonu. Schellenberg miał w Bernie zaufanego człowieka, który dzięki swym stosunkom przeniknął do otoczenia Dullesa. Nim też postanowił się posłużyć w tej rozgrywce.

Tymczasem Amerykanin w niespełna pół roku po przyjeździe do Szwajcarii miał już na swym koncie kilka sukcesów. Przede wszystkim bardzo szybko nawiązał interesujące kontakty i to nie tylko z wywiadem szwajcarskim, lecz także za pośrednictwem Hansa Bernda Giseviusa, niemieckiego wicekonsula w Zurychu, z kołami opozycji antyhitlerowskiej w Niemczech. Te ostatnie najbardziej go interesowały, bowiem, jak napisał później w swej książce „Germany's Undergound" ukrytym celem jego misji było przeniknięcie do wywiadu wojskowego Rzeszy, czyli Abwehry. I w tym także znaczne usługi oddał mu Gisevius, który w rzeczywistości był stałym rezydentem wywiadu admirała Canarisa w Szwajcarii. Poza tym zadaniem Dullesa była koordynacja działalności wywiadowczej agentów OSS w Niemczech, Francji i Włoszech, których meldunki wysyłał do central w Londynie i Waszyngtonie.

Jeśli chodzi o kontakty ze Szwajcarami, to w nawiązywaniu ich Dulles nie napotykał na żadne trudności. Wiedząc, że cieszy się on zaufaniem prezydenta Roosevelta, wszystkie ważniejsze osobistości szwajcarskiego życia politycznego, nie wyłączając generała Guisana i pułkownika Massona, patrzyły nań chętnym okiem, zdając sobie sprawę, że obecność tego przedstawiciela USA stanowi w pewnym sensie większą gwarancję bezpieczeństwa ich kraju. Toteż jego dom przy Herrengasse w Zurychu, czy apartament w hotelu „Schweizerhof" nad brzegiem jeziora Quatres-Cantons w Lucernie, a także mieszkanie przy Jubiläumsstrasse w Bernie były często odwiedzane przez różne wysoko postawione osobistości szwajcarskie, jak i członków placówek dyplomatycznych akredytowanych w tym kraju. Oprócz tej formy zdobywania informacji Dulles nawiązał dość bliskie kontakty z „Büro Ha" — a ściślej z jego szefem, majorem Hausamannem, z którym często wymieniał poglądy na temat aktualnej sytuacji politycznej i wojskowej w Europie, a zwłaszcza w Niemczech. Rozmowy te odbywały się dość regularnie, a miejscem spotkań Dullesa z Hausamannem było mieszkanie przyjaciela tego ostatniego, księgarza i wydawcy, doktora Emila Oprechta.

W starej, patrycjuszowskiej kamienicy na Hirschgraben 20 w Zurychu dokonywali wspólnej oceny sytuacji i wymiany informacji w kwestiach dotyczących III Rzeszy. We wzmiankowanej już książce Dulles wspomina, iż fakt utrzymywania przezeń kontaktów z oficerami wywiadu szwajcarskiego: Hausamannem i Walbelem równoważył w pewnym sensie kontakty, jakie Masson utrzymywał z Schellenbergiem. W ten sposób został zapewniony pewien poziom równowagi, co miało oznaczać, że Szwajcaria nie naruszyła zasady „przyjaznej neutralności". Poza tym, jak pisze Jon Kimche w książce „General Guisans Zweifrontenkrieg", Dulles uważał, że utrzymywanie kontaktu z Schellenbergiem jest w zasadzie zbędne, bowiem jego zdaniem można kupić każdego wysokiej rangi hitlerowskiego oficera. Dulles miał się przy tym powoływać na własne doświadczenie, jakie miał z wyższymi oficerami SS. Amerykanie zakonspirowali bowiem swojego człowieka w kwaterze głównej Schellenberga, dzięki czemu uzyskali dość dokładny obraz kulis RSHA. Czy jednak miało to oznaczać, iż Allen Dulles osobiście nie utrzymywał żadnych kontaktów z ludźmi Schellenberga?

Otóż sąd taki byłby zgoła fałszywy. Tego rodzaju spotkania miały bowiem miejsce kilkakrotnie i to już wkrótce po przybyciu amerykańskiego dyplomaty do Szwajcarii. Wysłannik prezydenta występował w nich pod pseudonimem „Mr. Bull" a pierwszy kontakt nastąpił jeszcze w połowie lutego 1943 roku. Wspomina o tym m. in. następujący dokument pochodzący z archiwów RSHA, w którym agenci Schellenberga przekazali informację o spotkaniu z Dullesem, do centrali kontrwywiadu SS w Berlinie. Dokument ten, datowany z dnia 30 kwietnia 1943 roku i opatrzony nadrukiem „Geheime Reichssache" (oznaczającym, iż dokument dotyczy tajemnicy państwowej najwyższej wagi), publikuje zachodnioniemiecki autor, Wilhelm von Schramm w swej książce: „Verrat im Zweiten Weltkrieg". Jego treść brzmiała następująco:

„Referat 3 do Referatu D Departamentu VI RSHA. Dot.: Dullesa, specjalnego wysłannika Roosevelta w Szwajcarii. Źródło: Rozmowa między drem Schüddekopfem i SS—Hauptsturmführerem Ahrensem.

Raport przedłożony przez VM 144/7957 o jego spotkaniu ze specjalnym wysłannikiem Roosevelta w Szwajcarii, Dullesem, został przyjęty do wiadomości.

Proszę przekazać wyciąg z życiorysu Dullesa opracowany na podstawie poradnika „Who is Who" do Referatu VI B3.

Ustalenia odnośnie osoby Dullesa zostaną następnie z VI B3 przekazane dalej.

Z polecenia:
podpis: Ahrens
SS—Hauptsturmführer"

Owym tajemniczym VM (Vertrauensmann — agent) 144/7957 był właśnie zaufany człowiek Schellenberga w Szwajcarii, książę Max Egon von Hohenlohe-Langenburg, a w rozmowach z Dullesem towarzyszył mu agent SS o pseudonimie „Bauer",

Foto: Archiwum

pod którym krył się właśnie dr Schüddekopf.

Celem spotkania ze strony Niemców było ustalenie, co Dullesowi jest wiadome na temat Rzeszy. Mieli bowiem nadzieję, że w ten sposób uzyskają pewne informacje o źródłach, z których korzysta. Interesowały ich zwłaszcza kontakty, jakie utrzymywał z wicekonsulem Giseviusem, który był przecież rezydentem konkurencyjnego wywiadu, tj. Abwehry. Dullesowi zaś przede wszystkim zależało na tym, aby od swoich rozmówców wydobyć jak najwięcej wiadomości o sytuacji politycznej i wewnętrznej Niemiec. I choć żadna ze stron nie wyszła z tego spotkania w pełni zaspokojona, to jednak pierwsze kontakty zostały nawiązane, co w niedalekiej przyszłości miało mieć, zwłaszcza dla Niemców, niebagatelne znaczenie. Jednakże, jak się niebawem okaże, największe korzyści z tej podwójnej gry przypadną Allenowi Dullesowi.

ŁODZIANIE – 75

Ryszard BINKOWSKI . . . . . .
Zenon HODOR . . . . . .
Leszek JEZIERSKI . . . . . .
Kazimierz KARPIŃSKI . . . . . .
Zbigniew KUCHOWICZ . . . . . .
Ewa MIROWSKA . . . . . .
Olga OLGINA . . . . . .
Antoni SZRAM . . . . . .
Janina SZYDLECKA . . . . . .
Ewa WYCICHOWSKA . . . . . .

Imię i nazwisko: . . . . . .
Adres: . . . . . .
Zawód: . . . . . .

Po raz trzeci drukujemy kupon konkursowy i przypominamy, że ogłoszony w numerze 51/52 „Odgłosów" plebiscyt „Łodzianie — 75" trwa.

Zwycięzcy w plebiscycie otrzymają od nas pamiątkowe talerze metalowe z herbem miasta. Natomiast uczestnicy głosowania otrzymają wartościowe nagrody, które rozlosujemy wśród wszystkich nadawców kuponów.

Będą to:
nagroda I — radioodbiornik tranzystorowy
nagroda II — aparat fotograficzny
nagroda III — zegarek na rękę
oraz pięć wyróżnień książkowych.

Wypełnione kupony plebiscytowe prosimy nadsyłać na adres naszej redakcji od 1 lutego 1976 roku na kopertach z napisem „ŁODZIANIE 1975".

O wynikach plebiscytu i nagrodach za udział w konkursie poinformujemy naszych Czytelników w jednym z numerów marcowych.

ŚWIAT • POLITYKA • WYDARZENIA • KOMENTARZE

U PRZYJACIÓŁ

W Niemieckiej Republice Demokratycznej wykształcono już ok. 3 tys. łużyckich nauczycieli i wychowawców. Pedagodzy ci pracują w szkołach okręgów Drezno i Cottbus, w których oprócz niemieckiego prowadzi się również naukę języka serbo-łużyckiego. Ukończyli oni wszyscy kilkuletnie studium w Łużyckim Instytucie Kształcenia Nauczycieli w Budziszynie. Instytut jest jedyną placówką w NRD, kształcącą nauczycieli i wychowawców łużyckiej mniejszości narodowej. W poprzednich latach zwiedziło go ponad 80 delegacji ze wszystkich kontynentów. Przybyły one przede wszystkim z krajów, w których mieszkają mniejszości narodowe, w tym ze Związku Radzieckiego, USA, Francji, Danii, Syrii, Egiptu i Mongolii, by w Budziszynie zapoznać się z praktyką polityki narodowościowej NRD.

• • •

W ub. roku największa fabryka samochodów w Jugosławii wyprodukowała ponad 140 tys. samochodów osobowych oraz 6.460 samochodów innych typów. Fabryka ta znajdująca się w Kragujevcu od 10 lat współpracuje z polskim przemysłem samochodowym.

Wśród samochodów osobowych najwięcej wyprodukowano „Zastav 101", znanych w Polsce jako „Zastawy 1100" (blisko 60 tys.). Następnie mini-Fiatów, zwanych w Jugosławii „Ficiami" (ok. 50 tys. sztuk). W kooperacji z Polską, ZSRR i Włochami zmontowano w Kragujevcu 21.296 samochodów osobowych typu „125 p" i „Fiat 132 gls".

W grudniu ub. roku fabrykę opuścił milionowy pojazd. Plan przewiduje, że następny milion samochodów wyprodukuje Kragujevec w ciągu bieżących 5 lat. Obecnie miesięczna produkcja wynosi więcej, niż przed 22 laty jeździło samochodów osobowych w całej Jugosławii.

• • •

W Hawanie ogłoszono podpisaną przez prezydenta Osvalda Dorticosa i premiera Fidela Castro ustawę o utworzeniu państwowego komitetu cen. Jest to jedna z pierwszych decyzji w sprawie realizacji uchwał I Zjazdu KPK, dotyczących uporządkowania życia gospodarczego w tym kraju. Powołanie tego nowego organu państwowego zapowiedziano zresztą już w sprawozdaniu KC KPK przedstawionym na zjeździe partii.

Rząd kubański podejmując powyższą decyzję podkreślił, iż dalszy rozwój gospodarki kraju wymaga udoskonalenia metod mechanizmów kierowniczych. Wynika stąd także nowa rola cen, jako ważnego instrumentu w systemie zarządzania gospodarką. Dlatego też władze kubańskie postanowiły od tej pory ustalić i prowadzić jednolitą politykę cen, poczynając od zbadania, w jakim stopniu obowiązujące obecnie ceny towarów, usług itp., odpowiadają aktualnej sytuacji gospodarczej kraju. Stwierdzono także, iż doświadczenia innych krajów socjalistycznych przemawiają za potrzebą ustanowienia jednolitego organu kierowniczego, który będzie planowo kształtować i kontrolować politykę cen.

• • •

W jednym z artykułów styczniowego numeru miesięcznika KC WSPR Partelet podsumowane są przygotowania do konferencji europejskich partii komunistycznych. Jak podkreśla się w artykule, spośród 31 partii komunistycznych kontynetu europejskiego w przygotowaniach do berlińskiej konferencji uczestniczy 28. Być może, że w konferencji nie wezmą udziału: Islandzki Związek Ludowy i Komunistyczna Partia Hollandii, które jednak wyraziły swe zainteresowanie wynikami konferencji. Jedynie Albańska Partia Pracy zdecydowanie odmówiła udziału w konferencji.

Jak czytamy w artykule na temat prowadzonych dotychczas przygotowań charakterystyczną cechą której odzwierciedleniem są szerokie dyskusje polityczne i opublikowane oświadczenia, jest to, że bratnie partie w sposób jednakowy bądź zbieżny oceniają rozwój sytuacji politycznej w Europie, położenie w międzynarodowym ruchu robotniczym oraz główne kierunki swej działalności.

• • •

Wytyczne KC BPK stwierdzają, że dalszy rozwój i rozszerzenie zaplecza materialno-technicznego powinno być podporządkowane w sposób bardziej bezpośredni coraz szybszemu podnoszeniu stopy życiowej. Równolegle z szybkim rozwojem gałęzi produkcyjnych, powinien być zapewniony szybki rozwój tych gałęzi przemysłu, które produkują towary powszechnego użytku.

NA ZACHODZIE BEZ ZMIAN

NOWY ROK – STARE PROBLEMY

Bilans minionego roku w krajach zachodnich zamykają: ogromne rozmiary bezrobocia i wzrost inflacji. Jest to najgłębszy kryzys od czasów zakończenia II wojny światowej, porównywany pod względem swego natężenia i następstw do wielkiego kryzysu lat trzydziestych.

Burżuazyjni ekonomiści podkreślają charakterystyczną cechę obecnego kryzysu — niespotykane dotąd sprzężenie spadku ekonomicznego z ostrą inflacją, i wyrażają obawy, iż wyjście z tego zaczarowanego kręgu będzie niezwykle trudne. Kryzys na Zachodzie rozwijał się fazami i obecnie osiągnął punkt krytyczny. Ekonomika krajów zachodnich stoi przed perspektywą dalszego masowego bezrobocia, zwolnionego wzrostu, wielkich deficytów budżetowych, wzrostu cen na surowce i niebezpiecznego tempa inflacji.

W 1976 roku ekonomicznym problemem nr 1 będzie najprawdopodobniej przyszłość samego systemu stosunków rynkowych na Zachodzie. „W 1975 roku stało się jasne — pisze, komentator ekonomiczny „France Presse" — że przyczyna kryzysu na Zachodzie tkwi w strukturze systemu. Tymczasem rządy w dalszym ciągu polegały na starych metodach ekonomicznego sterowania. Ekonomika krajów komunistycznych rozwijała się nieustannie. Trzeci Świat żądał poważnego rozważenia kwestii stworzenia bardziej uporządkowanego światowego systemu ekonomicznego, i osiągnął swój cel.

W 1975 roku wewnętrzne ciśnienie na Zachodzie znalazło ujście na zewnątrz w takich oto interesujących faktach:

- Grupy ekonomistów w USA i w Europie, niezależnie od siebie, zapowiedziały jeszcze ostrzejszy kryzys w latach 1978—1979, którego korzenie tkwią w obecnej sytuacji kryzysowej;
- Brytyjski ekonomista Barbara Watton powiedziała, że jej zdaniem kapitalizm poniósł w końcu klęskę;
- Francuski prezydent Giscard d'Estaing, gorący wyznawca systemu kapitalistycznego, złożył wieniec w Mauzoleum Lenina;
- Amerykański ekonomista Robert Heilbroner oświadczył „Mam nieomal pewność, iż w przeciągu 5 lat zostanie w naszym kraju wprowadzone planowanie";
- Wychodzący w Londynie dziennik „The Financial Times" zamieścił artykuł pt. „Czy kapitalizm ma przyszłość?", a tygodnik „The Economist" wykazał, w jaki sposób może on (kapitalizm) doznać klęski w Anglii.

Chociaż kryzys na Zachodzie świadczy, w ogólnych zarysach, o słuszności analizy marksistowskiej, systemowi nieskrępowanej inicjatywy zagraża, jak widać, nie tyle rewolucja, co utrata wiary ludzi w ten system. Wyniki badań opinii publicznej w Stanach Zjednoczonych świadczą, iż ponad trzy czwarte Amerykanów zgodziłoby się na niższy standard życiowy, jeśli by to mogło pomóc w uniknięciu poważnej inflacji i spadku ekonomicznego.

Być może — pisze dalej komentator „France Presse" — należałoby także powiedzieć, że miliony ludzi na Zachodzie, a przede wszystkim w Europie, uważają iż napędowa siła zysków jest niebezpieczna, amoralna i po prostu głupia. W przeciwnym razie nie byliby oni tak zgodni w wystąpieniach przeciwko systemowi".

Na konferencji przywódców sześciu państw zachodnich: USA, Francji, Japonii, Wielkiej Brytanii, Włoch i RFN, która w połowie listopada ub. roku odbyła się w pałacu Rambouillet pod Paryżem, jej uczestnicy nie uczynili żadnej próby wykazania w planie międzynarodowym, że rozumieją charakter obecnego kryzysu i mają nań odpowiedź. Mówiono głównie o ekonomice wolnego rynku kapitalistycznego jako takiej, a nawet, że zachodnie struktury polityczne znajdują się w niebezpieczeństwie.

Wielu sceptyków na Zachodzie uważa, iż spotkanie w Rambouillet było po prostu spektaklem wyreżyserowanym przez liderów politycznych, ogarniętych pragnieniem stworzenia pozoru działania oraz odparcia zarzutu, iż nie są w stanie uporać się z ekonomicznymi problemami swoich krajów.

Specjaliści krajów zachodnich — czemu daje nieomal zgodny wyraz prasa burżuazyjna — nie przewidują realnego polepszenia sytuacji ekonomicznej w Europie do półrocza 1976 roku. Co więcej — wyrażają obawy, że nawet i później wzrost będzie tak słaby, iż „może się skończyć, nim w ogóle nabierze rozpędu".

W Anglii

sytuacja ekonomiczna pogarsza się. Wiadomo już, że globalna produkcja narodowa za rok 1975 będzie niższa, niż w 1974 roku, a na rok 1976 ekonomiści Wspólnego Rynku zapowiadają w Wielkiej Brytanii wzrost zerowy. Eksport rozwija się słabo, poziom życia ludności spada. Rząd premiera Wilsona nie jest w stanie stymulować ekonomiki, bowiem poziom inflacji wynosi 27,9 proc. Jest to najwyższy poziom dla kraju uprzemysłowionego.

Republika Federalna Niemiec

przeżywa najbardziej gwałtowne zmniejszenie globalnej produkcji narodowej (o 3,5 proc.) na przestrzeni całego swego istnienia. Zachodnioniemiecki przemysł wykorzystuje dziś zaledwie 75 proc. mocy produkcyjnych. Poziom bezrobocia sięga już 4,4 proc. i w okresie tegorocznej zimy wykazuje tendencje wzrostu. W końcu listopada ub. roku liczba bezrobotnych w RFN wynosiła ponad 1.114.000 osób.

We Francji

globalny produkt narodowy zmniejszył się w 1975 roku o ponad 2 procent. Prezydent Giscard d'Estaing „podparł" ekonomikę francuską sumą rzędu 7 miliardów dolarów w formie subsydiów inwestycyjnych, zmniejszył obciążenia podatkowe korporacji oraz podjął decyzję w sprawie realizacji programu robót publicznych. Mimo wszystko bezrobocie rośnie nadal, wybuchają wciąż nowe strajki. Polityka rządowa spowodowała wzrost cen na towary konsumpcyjne i była wodą na młyn inflacji.

We Włoszech

globalny produkt narodowy w 1975 roku będzie prawdopodobnie niższy o 3 procent niż w roku 1974. Produkcja przemysłowa w 1975 roku spadła o ponad 10 procent w porównaniu z rokiem poprzednim, a fabryki wykorzystują mniej niż 70 procent mocy produkcyjnych. Jak przewidują eksperci, armia bezrobotnych w 1976 roku wzrośnie do około 1.700.000 osób. Inflacja w listopadzie ub. roku wynosiła 9,8 proc.

W Japonii

premier Miki oświadczył: „Nigdyśmy się jeszcze nie zetknęli z tak złożoną i ciężką sytuacją ekonomiczną jak obecnie".

W miarę spadku popytu wewnątrz kraju, agresywny biznes japoński szybko rozszerzał handel zagraniczny, pomagając postawić na nogi ekonomikę japońską. Teraz rząd japoński rozpoczął realizację programu stymulowania popytu wewnętrznego, asygnując 6 miliardów dolarów na rozchody dodatkowe, na roboty publiczne i budownictwo mieszkaniowe, zmniejszając jednocześnie stopę dyskontową banków centralnych z 9 proc. do 6,5 proc. Przedsiębiorcy twierdzą jednak, że kroki te są niewystarczające. Według opinii specjalisty z banku „Fudzi", każda co czwarta kompania japońska przeżywa duże trudności ekonomiczne i ma deficyt.

Stany Zjednoczone

W Waszyngtonie mówi się, że jakie by nie były obecne trudności, to ekonomika USA znajduje się na drodze, która powinna ją wyprowadzić ze spadku. Administracja — jak podaje nowojorski „Time" — oświadcza oficjalnie, iż w 1976 roku nastąpi 6-procentowy przyrost globalnego produktu narodowego. Jednakże nadal nie ma widoków na poprawę w dziedzinie budownictwa mieszkaniowego, które jest jedną z ważnych gałęzi amerykańskiego przemysłu.

W październiku ub. roku nastąpiła podwyżka cen hurtowych o 23,9 proc. (w skali rocznej), która utrzymuje się do dziś. Objęła ona nie tylko samochody, lecz także produkcję rolną, drewno, wyroby tekstylne, odzież, meble i wyroby trwałego użytku.

Nowy i palący problem stworzyła niezwykle trudna sytuacja, w jakiej znalazł się Nowy Jork. Istnieją obawy, iż w wypadku bankructwa Nowego Jorku stracą wartość obligacje (leżące w bankach całego kraju), wypuszczone przez Nowy Jork na ogólną sumę 2 miliardów dolarów. Jak ocenia profesor uniwersytetu w Harvardzie, Otto Ekstein, bankructwo Nowego Jorku będzie kosztowało kraj około 14 miliardów dolarów, w wyniku zmniejszenia produkcji i straty 500 tysięcy stanowisk pracy.

Spadek ekonomiczny w USA po raz pierwszy przeplata się tak wyraźnie z wstrząsami ekonomicznymi, które przeżywają dziś wszystkie kraje Zachodniej Europy i Azji. Bezrobocie bije wszelkie rekordy, a liczba i ciężar gatunkowy bankructw są bez precedensu od czasu wielkiego kryzysu lat trzydziestych. Np. „Franklin National Bank" nie wytrzymał próby kryzysu, a takie korporacje jak „Continental Edison", „Lockheed", „Pan American World Airlines" uniknęły bankructwa tylko dzięki państwowym subsydiom. Skutki kryzysu dotknęły, m. in., tak ważne gałęzie amerykańskiego przemysłu jak metalurgia, chemia, elektronika.

„Kryzys — pisze komentator paryskiego czasopisma „La Pensée", Henri Claude — zadaje najsilniejszy cios burżuazyjnej ideologii państwowo-monopolistycznego kapitalizmu. Kryzys rodzi nowe problemy, które rozbijają w puch ekonomiczną teorię wielkiej burżuazji i ekonomiczną politykę państw kapitalistycznych".

JERZY CZECH

■ WCIĄŻ PRZECIW ROZSĄDKOWI
■ PIERWSZY RAZ Z UDZIAŁEM OWP
■ BRAK JEDNOŚCI AFRYKAŃSKIEJ
■ MODYFIKACJA PROPOZYCJI ZACHODU

Prasa codzienna poinformowała, że **komisja prawna Bundestagu głosami partii koalicji rządowej podjęła uchwałę, zalecającą parlamentowi przyjęcie umów z Polską.** Przypomnijmy, że umowy te uzgodnione zostały w Helsinkach i podpisane w Warszawie w październiku ub. roku oraz że wymagają ratyfikacji przez parlament. W głosowaniu na forum komisji deputowani z ramienia CDU/CSU wypowiedzieli się przeciw.

W postępowaniu opozycji widać konsekwentność. Niestety — służącą złym celom: podważeniu układu z 1970 roku i zahamowaniu procesu odprężenia. Już bezpośrednio po podpisaniu w Warszawie wspomnianych umów przywódcy chadecji zgłaszali „zastrzeżenia" i podejmowali krytykę. Niedawno ostro zaatakowali przewodniczącego frakcji SPD w Bundestagu — Herberta Wehnera w związku z jego rozmowami w Polsce, konferencją prasową w Warszawie, oświadczeniem dla prasy bońskiej i innymi wypowiedziami. Wehner podkreślał bowiem potrzebę rozszerzenia i pogłębienia procesu normalizacji między RFN i Polską, zapowiadał rozwinięcie współpracy gospodarczej oraz podzielił pogląd krajów socjalistycznych, iż odprężenie polityczne musi być wsparte odprężeniem militarnym. Wszystko to bardzo się nie podoba obozycji chadeckiej, która z niebywałą gwałtownością zaatakowała już nie tylko Wehnera, ale właściwie całą politykę wschodnią Bonn. Można się domyślać, że **ze stosunków RFN — Polska zamierza ona uczynić instrument walki politycznej w okresie wyborczym,** a jej szerszą platformą będzie podważanie tendencji odprężeniowych w świecie. Jest to więc stawka na tych wyborców w RFN, którzy związani są z kołami militarystycznymi i obawiają się pokojowej współpracy państw. **CDU/CSU stawia siebie tym samym w rzędzie tych nielicznych już sił w Europie, które chcą cofać stan stosunków do okresu „zimnej wojny".** Miejmy nadzieję, że to się nie uda, a polityka chadecji ulegnie przeobrażeniom, zgodnym z duchem Helsinek.

Wydarzeniem ostatnich dni jest **debata bliskowschodnia w Radzie Bezpieczeństwa.** Toczy się ona przy udziale przedstawicieli Organizacji Wyzwolenia Palestyny, co jest zupełnym novum. Jeszcze **kilka lat temu problem palestyński uważany był za marginesowy, teraz jest kluczem do rozwiązania konfliktu bliskowschodniego.** Chodzi już przecież nie tylko o uregulowanie kwestii uchodźców, lecz o zagwarantowanie narodowi palestyńskiemu suwerennych praw. Fakt, że w posiedzeniu nie bierze udziału przedstawiciel Izraela — jest to forma protestu przeciwko obecności delegacji OWP — nie najlepiej świadczy o realizmie Tel Awiwu i jest wskazówką, jak trudno będzie uregulować problem.

Tymczasem zagwarantowanie pokoju wszystkim narodom Bliskiego Wschodu wymaga rozwiązań całościowych. Polityka „częściowych kroków" i separatystycznych porozumień, jak można było oczekiwać, absolutnie nie zdała egzaminu, nie jest nawet półśrodkiem na drodze do celu. Praktyka wykazała, że **pokoju w tym rejonie nie mogą zapewnić odrębne układy, gdyż takie nie uwzględniają interesów wszystkich narodów.** Na tym tle tym bardziej niezbędne jest szybkie wznowienie prac konferencji genewskiej — oczywiście z pełnoprawnym głosem OWP, co przecież wciąż proponuje Związek Radziecki.

Zainteresowanie towarzyszyło również innemu dyskusyjnemu forum — **konferencji na szczycie Organizacji Jedności Afrykańskiej.** Szefowie państw członkowskich zebrali się w Addis Abebie, aby radzić nad kwestią Angoli. Jak wiadomo — w kraju tym proklamowana została republika ludowa, ale jednocześnie trwa zbrojna interwencja rasistowskiej Republiki Południowo-Afrykańskiej, wspierana przez wewnętrzne ruchy — FNLA i UNITA. Spośród 44 państw afrykańskich, skupionych w OJA, dokładnie połowa opowiada się za powszechnym uznaniem Ludowej Republiki Angoli i potępieniem interwencji.

Konferencja w Addis Abebie nie przyniosła rezultatu, część państw afrykańskich nadal nawołuje do „pojednania" między legalnym rządem a wymienionymi ruchami, będącymi na służbie rasistów i neokolonialistów. **Niepowodzenie obrad niekorzystnie odbije się na afrykańskiej stabilizacji** i może być przysłowiową wodą na młyn przeciwnikom odprężenia. Wojna domowa w Angoli niesie bowiem szersze niebezpieczeństwa i może być pełniej wykorzystana do skłócenia krajów, pogłębienia podziału między państwami postępowymi a umiarkowanymi, jak zwykło się określać dwie grupy państw afrykańskich.

Na zakończenie przeglądu wydarzeń powróćmy do Europy. Odnotujmy, że **pod koniec stycznia rozpocznie się w Wiedniu kolejna runda rokowań na temat redukcji sił zbrojnych i zbrojeń w Europie środkowej.** Ze wznowieniem rokowań wiąże się pewne nadzieje na przełamanie dotychczasowego impasu. Jego istota polega na tym, czy siły zbrojne mają być redukowane o jednakowe wielkości po obu stronach, czy też do jednakowego pułapu. Za pierwszą możliwością, a więc zachowaniem dotychczasowej równowagi, opowiadają się kraje Wschodu, za drugą — nierównomiernych cięć potencjału militarnego — kraje Zachodu.

Ostatnio nadeszły informacje, że **państwa NATO nieco modyfikują swą wersję** i gotowe są, nadal obstając przy nierównym pomniejszeniu, włączyć do redukcji tysiąc amerykańskich „elementów nuklearnych". Czy propozycja ta może przynieść postęp w rokowaniach wiedeńskich — trudno przewidzieć. W każdym razie na pewno od jej oceny rozpocznie się kolejna runda.

W. SŁAWSKI

SPORT

Nic NOWEGO pod SIATKĄ

Polscy siatkarze odnieśli nie tylko sukces na mistrzostwach świata, ale potwierdzili też swoją wysoką klasę na mistrzostwach Europy. Zajęli tam wprawdzie drugie miejsce, ale też trzeba o tym pamiętać, że osiągnął to odmłodzony zespół. W strategicznym planie Huberta Wagnera mistrzostwa Europy były sprawdzianem dla siatkarzy przed decydującym spotkaniem w Montrealu. I wszystkim nam wydawało się, że o Igrzyska Olimpijskie — jeśli chodzi o występy naszych siatkarzy — możemy być spokojni. Dziś nie jestem już tego taka zupełnie pewna.

Co zmieniło się pod polską siatką? Co stało się w tak krótkim czasie, że trzeba znów niepokoić się o los naszych siatkarzy?

Odpowiedź na tę pytania przynosi w nr 2 z 13 stycznia 1976 roku tygodnik „Sportowiec" w artykule Janusza Cieślińskiego pt. „Wychowawczy pat":

„Trener kadry narodowej w siatkówce mężczyzn, Hubert Wagner, złożył rezygnację z pracy".

Nie muszę nikogo przekonywać, gdyż pisano o tym szeroko, a także mówiono w telewizji, że u podstawy sukcesu polskich siatkarzy leżała katorżnicza niemal praca i twarda dyscyplina, jaką siatkarzom narzucił Hubert Wagner. Nikt nie próbował też kwestionować, że sukces naszych siatkarzy to zasługa przede wszystkim trenera. Ale — niestety — u nas niedobrze mieć sukcesy, niedobrze jest wyróżniać się, wyrastać ponad przeciętność. Doświadczył tego Kazimierz Górski, doświadcza teraz tego Hubert Wagner.

Po mistrzostwach świata trener polskich siatkarzy zwolnił część pierwszego złotego zespołu, dał zawodnikom urlop i zezwolił im występować w zagranicznych zespołach, pod warunkiem, że nie będą to zespoły zawodowe. W europejskiej siatkówce przepisy zabraniają bowiem „kumania się" z zawodowcami. I te przepisy trzeba respektować pod groźbą dyskwalifikacji całej drużyny. Nie uznał tego Stanisław Gościniak i wystąpił — jak to nazwał w „Szpilkach" Tadeusz Olszański — w amerykańskim cyrku siatkarskim. Hubert Wagner wystąpił do Polskiego Związku Piłki Siatkowej z wnioskiem o dożywotnią dyskwalifikację Stanisława Gościniaka. I naraził się niemal wszystkim.

Hubert Wagner wymaga od członków kadry narodowej nie tylko ciężkiej pracy, ale też wysokiej dyscypliny i stawia przed kadrowiczami wysokie wymagania moralne. Czy robi coś innego niż określają to zasady naszego sportu, o czym się ciągle mówi i pisze? Nie. A mimo to naraził się różnym dobrym wujkom i ciociom.

Hubert Wagner jest konsekwentny, wie czego chce i pokazał, że potrafi swoje zamierzenia i plany realizować z powodzeniem. Powinniśmy go za to chwalić i stawiać jako przykład. Ale nie podobnego. Kiedy Zbigniew Woźniak — zawodnik wrocławskiej Gwardii — został powołany do kadry i nie stawił się na zgrupowaniu w Zakopanem, trener kadry wystąpił do PZPS z wnioskiem o dyskwalifikację. Zbigniew Woźniak wprawdzie tę dyskwalifikację otrzymał, ale klub wniósł o jej uchylenie. Do głosu znów doszli dobrzy wujkowie i ciocie. Po długich kołomyjkach sprawa znalazła się w Polskiej Federacji Sportu, gdzie postanowiono dyskwalifikację uchylić, a Z. Woźniaka ukarać... zwrotem kosztów utrzymania za 3 dni pobytu w Zakopanem. Sprawa nie ma jeszcze finału, ale już i tak dostatecznie wiele złego zrobiono, podważając autorytet i metody pracy trenera, od którego wymaga się, aby w takiej atmosferze przygotował kandydatów do złotego, olimpijskiego medalu.

Nie koniec na tym. Jest jeszcze sprawa Wiesława Czai — zawodnika drugoligowego AZS z Częstochowy, który od dawna jest też członkiem kadry. H. Wagner postawił przed Wiesławem Czają alternatywę, albo AZS w Częstochowie, albo kadra. Częstochowski AZS nie gwarantował bowiem należytego przygotowania zawodnikowi kadry. Wiesław Czaja dość długo unikał decyzji, a kiedy wreszcie postanowił przenieść się do Krakowa, to zaraz po tym kroku... odmówił gry w pierwszym ligowym meczu krakowskiego Hutnika.

Hubert Wagner uznał, że tak efemeryczny zawodnik nie może być członkiem kadry, gdyż może też przyjść mu do głowy wygodna myśl, aby odmówić występu w decydującym spotkaniu polskiej reprezentacji. Czy H. Wagner nie miał racji? Moim zdaniem miał, gdyż walka o olimpijskie laury nie ma nic wspólnego z imieninami u cioci, na które można sobie pójść lub od których można wymówić się bólem głowy. Ale do głosu znów doszli wujkowie i ciocie, których życiową maksymą jest okazywać dobroć wszystkim, poklepywać po plecach i być życzliwym.

Aby sukces Huberta Wagnera był tym wyraźniejszy wspomnę tylko, że prezes PZ Piłki Siatkowej — Stanisław Romański, wypowiadając się na łamach „Głosu Pracy", mówił o trudnej sytuacji panującej w tej dyscyplinie sportu, o braku japońskich piłek dla wszystkich drużyn, gra nimi tylko reprezentacja, o braku butów dla zawodników i zawodniczek. A mimo to polska reprezentacja potrafiła w 1973 roku odnieść na międzynarodowej arenie na 25 spotkań 20 zwycięstw, w 1974 na 36 spotkań — 32 zwycięstwa, a w 1975 na 42 spotkania zwyciężyć 37 razy.

„Sowietskij Sport" pisał o H. Wagnerze: „Polska drużyna w rękach nowego trenera przeżyła prawdziwą metamorfozę".

— A więc teraz — powiedzieli sobie niektórzy — trzeba zrobić wszystko, aby Hubertowi Wagnerowi dać po łapach!

BOGDA MADEJ

STUDIUM PORÓWNAWCZE

Przyjrzyjcie się jej uważnie — oto pani Kowalska, współczesna, dzisiejsza. Nienaganne pochodzenie społeczne, studia, dobry zawód, w domu pralka, odkurzacz, elektryczna froterka, telewizor, kombajn kuchenny i mąż wytresowany w posługach — pójdzie, postoi i przyniesie, odda resztę co do grosza. Jakże jej daleko do dawnej staropolskiej białogłowy! Daleko? Nie ulegajmy temu złudzeniu, stare obyczaje, nawyki, przyzwyczajenia, najdłużej trwają w kobiecie.

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

Radziwiłł i Kowalski

Znany w siedemnastym wieku moralista ksiądz **Szymon Starowolski** powiedział w jednym ze swoich kazań:

„Natura sama sprawiła, że i między wszystkimi zwierzęty zawsze samica jest gorsza niżeli samiec, sroższa jest niedźwiedzica niźli niedźwiedź, sroższa lwica niźli lew i wilczyca niżeli wilk. Tak też i między ludźmi zawsze jest gorsza białogłowa, gdy wstyd swój traci i na wszystkie złe się puści, niżeli mężczyzna. Pospolicie białogłowy nie umieją miary w życiu i obyczajach zachować. Gdy kogo miłują, miłują bez miary, nienawidzą i gniewają się bez miary, a kiedy poczną być dobrymi to tak, aże świętymi zostają".

Na jednym ze studenckich balów stolicy pojawiła się piękna dziewczyna ubrana tylko w maseczkę, o czym nasza prasa, zawsze dobrze poinformowana i sprawna, nie zapomniała donieść. Dziewczynę wzięto na stronę i zadano szereg zasadniczych pytań w rodzaju — co to ma być za strój i co przez ten strój chciała wyrazić? Dziewczyna odpowiedziała najpierw, że nosi ogólnie w kraju przyjęty strój stripteaserki, dodała także, że jest nudystką, noworodkiem i chciała wyrazić swój bardzo aktualny stan majątkowy, a do rzeczywistości — jak widać — ma pozytywny stosunek, walczy bowiem o obniżkę kosztów własnych.

Tę walkę z nadmiernymi wydatkami obserwował podobno już Kazimierz Wielki podczas pobytów w Radomiu, u pięknej Estery.

1.

Stanisław Staszic, także ksiądz i znany rygorysta, żalił się na kobiety staropolskie, które po to tylko ściskają się w pasie, aby **„tym silniej niewolila oko wypukła pierś, a tym rumniej odstawał tylec".**

U purytańskiego satyryka starej Polski Łącznowskiego czytamy:

**„...Szukajmy przyczyny,
Czemu odkryte piersi noszą heroiny?
Doić jak krów nie zwyczaj, a zwłaszcza w kościele,
Cóż tam tedy po gołym, mlekorodnym ciele?
I lub podczas na stole mleczna będzie kasza,
Przyznać musicie, że krowia, nie wasza.
A zatem i przy stole te wasze wymienia
Nie wiem za co żądają ludzkiego widzenia?"**

Nasza prasa donosiła swojego czasu o kłopotach proboszcza w miejscowości S. Zatroskany o stan moralności wystąpił bardzo ostro z ambony przeciw zwolenniczkom mody mini:

„Jak można pozwalać, by dziewczęta ubierały się aż tak krótko? — grzmiał. — **Gorzej, bo często i ich matki też noszą krótkie spódniczki, bądź sukienki mini. Chyba tylko po to, by pokazywać te zgliszcza!"**

Trudno powiedzieć, jaki to kazanie odniosło skutek, nie jest wykluczone, że wiernych w spódniczkach ubyło, panie mogły się poczuć dotknięte i to w najczulsze miejsca. Niewiele więc zmieniło się od czasów **Wacława Potockiego**, który pisał o syzyfowych pracach kaznodziejów:

**„Wołał na białogłowy reformat z ambony,
Że stale wstyd straciły panny i matrony.
Gdy na ponętę żądzy wdowy i mężatki
Ukazują i piersi, i nagie łopatki".**

Epoki mijają, tradycja trwa! A nawet sięga szerzej. Do chorzowskiego lokalu „Goplana" przyszła ładna dziewczyna z chłopcem, zdjęła w szatni płaszcz i przy dużych oklaskach stanęła przed lustrem bez sukni, ale za to w eleganckim dessous. Po krótkiej lustracji powiedziała do chłopca: jesteś niepoprawny, znowu mnie ponaglałeś! Chłopiec tłumaczył się podobno znanym w kraju brakiem miejsc w lokalach, ale nie dawano mu wiary.

2.

Johann Kausch zwiedzał illo tempore Polskę stanisławowską i takie poczynił uwagi:

„Do narodowych rozrywek należą tylko wino i karty, a tu i ówdzie jeszcze taniec. W Polsce nie tylko grywa się bardzo wysoko, ale panuje tu — rzecz nie do wiary — entuzjazm do kart, a nawet do gry w kości. Prawdziwy Polak zasiada zwykle do faraona, tryszaka, lub oka. Na wszystkich balach i prawie wszystkich przyjęciach — zakłada się banki".

Nie ginie tradycja, raczej sięga w głąb. W pewnym przedszkolu zielonogórskim wychowawczyni rozdała dzieciom papier, kredki i zapytała któregoś z maluchów, jakie zna kolory. Odpowiedział z miejsca — piki, trefle, karo, kiery.

3.

Kausch zachwycał się także polskim zmysłem handlowym:

„Polak bardzo wiele podróżuje, zakupuje — na przykład — w Rosji lub na Ukrainie woły, by przehandlować je na Śląsku, w Saksonii, Brandenburgii itede, dozoruje przy tym bydła osobiście w czasie drogi. Inny Polak handluje końmi, kupuje i sprzedaje. Trzeci uprawia handel zbożem, czwarty zaopatruje pobliskie miasteczko w gorzałkę, wywarem zaś tuczy setkę i więcej wołów. Piąty urządził coś w rodzaju fabryczki. Szósty, dysponując gotówką uprawia lichwę. Siódmy wykupuje procesy sądowe, gdy zainteresowany nie chce lub nie potrafi przeprowadzić sprawy, i na setkach zarabia tysiące. Ósmy wydzierżawia własne dobra, by móc wziąć w dzierżawę większe".

W naszej prasie można przeczytać takie oferty handlowe:

„Konia z powodu likwidacji sprzedam".

„Trumnę nie używaną — kupioną omyłkowo — wraz z palmą, korzystnie, z poważną stratą sprzedam".

„Sprzedam poważnemu nabywcy pół bliźniaka".

„Z powodu wyjazdu odsprzedam tanio miejsce w grobowcu. Centralne położenie".

„Sprzedam papugę. Wymiawia wyraźnie różne wyrazy. Jako prezent dla dzieci nie nadaje się".

„Okazyjnie sprzedam gremplarkę do wełny i karawan".

„Tapczan dwuosobowy w dobrym stanie, dywan, książkę telefoniczną przedwojenną — rok 1939, sprzedam".

Proces Witolda Mętlewicza i kompanów, którzy zwierzają się właśnie przed sądem z tajemnic handlowych, zdaje się wskazywać, że stara tradycja — kupić, sprzedać, oszukać, bynajmniej nie zanika.

4.

Pewne obyczaje, miło o tym pisać, utwierdzają się, sięgają coraz szerszych kręgów społecznych. Nasza milicja zatrzymała pod Węgorzewem samochód osobowy. Kierowca złamał wyraźnie przepisy i trzeba mu było wrzepić mandat. Oto, co pisze na temat tego wypadku dziennikarz:

„W otwartych drzwiach samochodowych ukazał się chłop w baranicy, który wyjął z kieszeni książeczkę Spółdzielni Oszczędnościowo-Pożyczkowej, wypisał czek na 100 złotych i wręczył go milicjantom".

Fason w guście posiadaczy kapitałów i kont bankowych, a więc z lat późniejszych, może międzywojennych? Jeżeli już o tych latach mowa — trzeba na plus dzisiejszych czasów powiedzieć, że mało czerpiemy wzorów, prawie nie kontynuujemy tradycji II Rzeczypospolitej. W starej, szlacheckiej Polsce, nie brakowało — na przykład — eremitów, albo inaczej pustelników, którzy niczym Florian Załuski unosili się pół łokcia nad ziemią. Jednego z nich wspomina pamiętnikarz szlachecki — Jaroszewicz.

„Mięsa przez lat dwadzieścia i pięć zakonnego życia nie jadł, na gołej ziemi albo na włosiennicy pospolicie sypiał, paskiem żelaznym ciało swoje ściskał. Gdy się tak ostrego życia sława jego rozeszła, białogłowa jedna nierządna do jego komórki przyszedłszy, do grzechu namawiać go poczęła, czy to chcąc cnoty jego doświadczyć, czy też lubieżności swojej dogodzić. Zgromił jej niewstyd, a gdy to bezwzględnej niewiasty nie poprawiło, postronkiem ją osmagawszy, od siebie odpędził".

Sanacja, niestety, doprowadziła do ruiny ostatniego pustelnika brata Wincentego Kasprowicza, pustelnika bardzo pożytecznego, który rezydował w Pieninach. Sklecił sobie budkę z drzewa, obił korą, ludziom sprzedawał herbatę, zbierał śmieci po turystach i dumał na swój koszt nad marnością tamtego świata. Niestety, upaństwowili go. Oto fragmenty umowy, zawartej z pustelnikiem:

„Brat Wincenty Kasprowicz, zwany w dalszym ciągu pustelnikiem, zobowiązuje się niniejszym oddać do Muzeum Parku Narodowego zbiory świątków, obrazów na szkle i innych przedmiotów z zakresu kultury regionalnej znajdujących się w pustelni".

W zamian za to państwo pozwalało pustelnikowi:

...„na pobór zbieraniny za wydaną asygnacją w lesie otaczającym pustelnię na potrzeby opalania pustelni, na pobór wody z terenu Parku Narodowego z miejsc i w sposób uzgodniony z Zarządem Parku Narodowego".

W takich warunkach, zniszczony przez biurokrację, pustelnik musiał splajtować. Wskrzeszenie tradycji miałoby w naszych warunkach duży sens. Oddałoby się pustelnię w ajencję, pustelnika ubrało w strój cepeliowski, sprowadziło hostesy, ustanowiło dodatek za działalność kulturalną, zbudowało jakieś gustowne eremitorium dla lepszych gości, dewizowych, i mielibyśmy bardzo rentowną pustelnię.

5.

Niektóre pośród złych tradycji utrzymują się, ale równocześnie łagodnieją, zmieniają swoje społeczne znaczenie, stają się prawie pożyteczne. Oto fragment protokołu policyjnego z roku 1931:

„Posterunkowi doprowadzili do Komisariatu w Krakowie chorego umysłowo Juliana L., który na ulicy dostał ostrego szału. Szpital świętego Łazarza nie przyjął furiata z powodu chronicznego przepełnienia. W Komisariacie zatem nałożono mu kaftan bezpieczeństwa. Gdy to nie pomogło dodano mu jeszcze kajdanki na nogi. Trzymało go dwóch posterunkowych na zmianę. Gryzł podłogi i wszelkie przedmioty, których mógł się czepić zębami, do tego stopnia, że chwyciwszy piec zębami wygryzł kawałek kafla".

Fot. W. Parys

Typowy przykład wariactwa bezproduktywnego. W naszej prasie podano do wiadomości bardzo ciekawy przypadek:

„Pewnego dnia w godzinach popołudniowych przed dworcem w Chorzowie Batorym regulował ruch jakiś samozwańczy stróż porządku publicznego, ubrany w dziwaczny mundur cesarsko-królewskiego huzara. Mimo że czynił to całkiem nieźle, już po kilku minutach odwiozła go karetka do szpitala psychiatrycznego. Wsiadając do karetki chory rozkazał kierowcy władczym tonem — jedź pan na Plac Pigalle, bo Francois sam nie da rady!"

Jest więc poważna różnica, prawda? I tu nie o to chodzi, że chory zbiegł ze szpitala i — być to może — reguluje ruch w innym mieście, cieszy najbardziej produktywna działalność dla ludzi w takich wypadkach. W innych także. Pewien — na przykład — współczesny chory wymyślił, żeby w aktach stanów cywilnych nawet zmarłym noworodkom wypisywać stan cywilny, kawaler czy panna? Co też czynimy. Jeszcze inny opracował regulamin pracy w ważnym urzędzie kolejowym. Oto fragment instrukcji dla korzystających z delegacji służbowych:

„Nie wolno jeździć na złączach i na stopniach wagonów, nie wolno przechodzić pod wagonami, samochodami, przez zderzaki i złącza".

6.

Jakieś siedemdziesiąt lat temu pisał na temat Straży Pożarnej znakomity felietonista **Zygmunt Wasilewski:**

„Widziałem raz w Alei Jerozolimskiej pożar na Pradze. Paliło się blisko, wprost Alei. Strażak stojący na wieży w oddziale na Nowym Świecie grzał się przy tym ogniu, mógłby plunąć w ogień, gdyby nie Wisła. Zadzwoniono na alarm, wypadł strażak na koniu ciężkim jak z ołowiu i pognał. Myślicie, że ku Wiśle? Nie, pokłusował na spacer Nowym Światem, potem wziął się od mostu z tamtej strony Wisły, na prawo, i pędził parę wiorst w kierunku z którego przybył. Za nim wyjechała w jakiś czas straż ogniowa, urządzając corso wzdłuż brzegów Wisły. Warszawa podziwiała nocą blask pochodni, a przez ten czas dom się spalił".

I ta tradycja narzekania na straż uległa znamiennej ewolucji, dzięki prostemu zabiegowi. W czasach Radziwiłłów, ale także i Lippopów warszawskich strażak nie był świadom tego, co to jest właściwie pożar, jak go zdefiniować w oparciu o najnowsze badania. Nauka stała kiepsko. Za Kowalskiego inaczej. Nasza Komenda Główna zapodała na ten właśnie temat:

„Pożar jako jednostka statystyczna, to nieoczekiwany proces palenia się użytecznych wartości materiałowych, do przerwania którego konieczne jest użycie środków gaśniczych".

Dobrze, że tę uzyskaną w pocie czoła definicję spopularyzowała nasza prasa, możemy spać spokojnie, nie tak jak nasi przodkowie. Zresztą same tytuły artykułów i informacji prasowych wskazują na znamienny zwrot w stronę człowieka:

„Kto odpowiada za znoszenie świeżych jaj?"

„Łysi — na świeże powietrze!"

„Dwóch mnichów utonęło w anyżówce!"

„Ryby dyktują warunki, choć nie mają głosu."

„W drodze na obiad — kup trumnę!"

„Gość psu nie dorówna".

„Ziemniaki na każdą okazję."

„Zrobię wam Polskę na drutach".

LUSTRO

Machado de Assis po dziś dzień uważany jest w Brazylii za mistrza nowelistyki oraz za najwybitniejszego pisarza XIX wieku. Zaczął pisać w 1855 roku i wśród jego literackiej spuścizny znajdują się wiersze, sztuki teatralne, krytyka, powieści oraz przede wszystkim mnóstwo opowiadań. Dość powiedzieć, że za życia pisarza ukazało się 7 tomów opowiadań, a po jego śmierci wydano jeszcze 4 następne.

W polskim tłumaczeniu ukazały się do tej pory dwie powieści Machado de Assisa: w roku 1959 „Don Casmurro" i w 1974 „Wspomnienia pośmiertne Brasa Cubas". Obecnie polski czytelnik otrzymał tomik, na który składa się 18 opowiadań wybranych z różnych okresów twórczości pisarza. Tomik nosi tytuł „Lustro i inne opowiadania".

Machado de Assis urodził się w 1839 roku w Rio de Janeiro, w ubogiej rodzinie. Był Mulatem, szkoły nie skończył. Ogromna kultura literacka jaką osiągnął rzadko jest udziałem samouka. Machado de Assis nauczył się języka angielskiego, francuskiego, włoskiego i łaciny po to, aby móc poznać wybitne dzieła literackie w oryginale. Był pierwszym prezesem utworzonej w 1897 roku Brazylijskiej Akademii Literatury i funkcję tę pełnił do końca swego życia.

„Lubię patrzeć, jak płynie czas i ludzkie sprawy" — powiedział kiedyś do przyjaciela. Ta postawa obserwatora, sceptyka, który pozbył się złudzeń wobec życia dominuje we wszystkich opowiadaniach brazylijskiego pisarza. Akcja niemal wszystkich opowiadań rozgrywa się w Rio de Janeiro w czasach wydawałoby się odległych. Ale prawda o człowieku, o jego żmudnym życiu, drobnych konfliktach i wielkich dramatach w relacji Machado de Assisa nabiera cech uniwersalnych. Niezależnych ani od odległości geograficznych, ani od upływającego czasu.

Machado de Assis — „Lustro i inne opowiadania", przełożyła: J. Z. Klave, Wydawnictwo Literackie, Kraków — 1975, str. 225, cena: zł 30,—

„CESARZOWA"

W Klubie Interesującej Książki ukazał się przekład powieści czeskiego prozaika i reportażysty Norberta Fryda „Cesarzowa". Autor, z wykształcenia filolog i prawnik, przed wojną pracował jako scenarzysta filmowy. W czasie wojny był więźniem obozów koncentracyjnych — Terezin, Oświęcim i Dachau. Po wojnie Norbert Frýd był pracownikiem placówek dyplomatycznych w Stanach Zjednoczonych i Meksyku. W swojej twórczości często łączy beletrystykę z formą reportażową. Jest między innymi autorem „Sprawy majora Hogana" „Studni sępów", „Ostatniej roli wielkiej gwiazdy" oraz tomów reportaży z podróży do Ameryki Łacińskiej.

„Cesarzowa" to powieść, w której na tle panoramy politycznej i obyczajowej początku drugiej połowy XIX wieku pisarz przedstawia dzieje Charlotty i Ferdynanda Maksymiliana Habsburga, cesarskiej pary na tronie w Meksyku. Powieść może interesować nie tylko dlatego, że przedstawia drogę cesarskiej pary na tron i jej późniejszy tragiczny koniec. Jest to również wnikliwe studium psychologiczne kobiety, dla której jedynym celem życia było zdobycie władzy.

B. M.

Norbert Frýd — „Cesarzowa", przełożyła: M. Erhardtowa, PIW, Warszawa — 1975, str. 422, cena: zł 32,—

DZIENNIK PIELGRZYMA

W serii „ceramowskiej" ukazała się nowa pozycja. Jest nią „Buddyjski pielgrzym w świątyniach Tybetu". W nocie od wydawcy czytamy:

„Oddajemy do rąk czytelnika polskiego książkę bardzo ciekawą, niecodzienną. Jej autor — Gonbodżab Cybikow — w 1899 roku na zlecenie Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego podjął — w przebraniu buddyjskiego pielgrzyma — podróż do Tybetu, jego klasztorów i świątyń, niedostępnych niemal dla podróżnych i badaczy podejmujących próby dotarcia do nich: ekspedycji i wypraw nie wpuszczali bowiem Tybetańczycy do kraju w obawie przed nowymi pradami i ideami."

Dziennik podróży Cybikowa obejmuje lata 1899—1902. Tyle bowiem czasu trwała jego podróż do stolicy lamaizmu — Lhasy. Barwne i interesujące jest to sprawozdanie z podróży do Tybetu. Z wnikliwością badacza G. Cybikow poznawał życie ówczesnych mieszkańców Tybetu. Z jego szczegółowych notatek wyłania się nie tylko obraz codziennego życia i obyczajów Tybetańczyków. Cybikow przede wszystkim starał się odsłonić i objaśnić wszelkie problemy związane z religią i jej funkcjonowaniem w społeczeństwie tybetańskim.

Bezpośrednia, wnikliwa, subiektywna często relacja G. Cybikowa — pielgrzyma może i dzisiaj zafrapować wielu czytelników. Mimo, że Tybet nie jest już obecnie taką ziemią nieznaną, jaką był na przełomie XIX i XX wieku.

Gonbodżab Cybikow — „Buddyjski pielgrzym w Świątyniach Tybetu", przełożył: E. P. Melech, PIW, Warszawa — 1975, str. 284, cena: zł 85,—

NOTATNIK ARTYSTY

W Wydawnictwie Literackim ukazał się „Dziennik" Józefa Mehoffera, jednego z najwybitniejszych malarzy Młodej Polski, ucznia Jana Matejki, twórcy wielu portretów, obrazów o tematyce symbolicznej oraz witraży w katedrze na Wawelu i we Fryburgu.

Dziennik Józefa Mehoffera rozpoczyna się datą 6 marca 1891 roku, kiedy to młody, niespełna 22-letni malarz, jako stypendysta krakowskiej Szkoły Sztuk Pięknych wyrusza na dalsze studia artystyczne za granicę. Dziennik urywa się w połowie września 1897 roku. Artysta był już wówczas zwycięzcą konkursu na projekt witraży do kościoła św. Mikołaja we Fryburgu w Szwajcarii.

Dla wielu miłośników tego typu literatury „Dziennik" Mehoffera będzie lekturą pasjonującą. Jest to dokument nie tylko ilustrujący postawę artysty wobec poznawanego świata, ale i dokument świadczący o kolejnych etapach rozwoju i dojrzewania talentu wybitnego malarza. Bardzo osobiste, bardzo szczere notatki Józefa Mehoffera wprowadzają nas w świat „fin de siècle'u", przybliżają wielu znanych ludzi, oddają klimat minionej epoki.

Słowa uznania należą się Jadwidze Puciata-Pawłowskiej, która nie tylko z niezwykłą pieczołowitością opracowała bruliony „Dziennika" Józefa Mehoffera, ale i opatrzyła go wnikliwym komentarzem, poszerzającym i uzupełniającym zapiski artysty.

Józef Mehoffer — „Dziennik", Wydawnictwo Literackie, Kraków — 1975, str. 450, cena: zł 85,—

WARTO PRZECZYTAĆ

Ireneusz Iredyński „Człowiek epoki", WL, zł. 13
„Żar-Ptak". Opowiadania 1973. PIW, zł 32.
Jan Rostworowski „Portret z małpką". Opowiadania, WL, zł 13.
Józef Ozga-Michalski „Do najjaśniejszej pani", LSW, zł 20.
Stefan Majchrowski „Córka Księżyca", LSW, zł 28.
Wojciech Burtowy „Inaczej ponazywać kwiaty", WPozn. zł 14.
Ewa K. Kossak „Dagny Przybyszewska, zbłąkana gwiazda", PIW zł. 75.
„Złote kamienie" Dawne i nowe wiersze Azejberdżanu, WŁ zł 40.
„Tomasz Mann w oczach krytyki światowej", PIW, zł. 70.
A. G. Isaczenko „Rozwój myśli geograficznej", PWN, zł. 75.
„Kobieta w rozwijającym się społeczeństwie socjalistycznym". WŁ zł 20.
Melchior Wańkowicz „Królik i oceany". WL. zł 85.
F. Bernaś „Upadek III Rzeszy", LSW, zł 60.
J. Toeplitz-Mrozowska „Słoneczne życie, WL, zł. 110.
„Księga cytatów z polskiej literatury". PIW, zł 350.
M. Bachtin „Twórczość Franciszka Rabelais'go". WL, zł 120.

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

BLISKO WAŃKOWICZA

Aleksandra Ziółkowska przez trzy ostatnie lata życia Melchiora Wańkowicza była jego sekretarką. To właściwie bardzo krótko, zważywszy, że pisarz debiutował sześćdziesiąt parę lat temu i całe jego życie wypełnione było twórczością. Ale może właśnie te lata, lata koronowania pracy całego życia, były najciekawsze?

I rzecz ciekawa. Publikacje Ziółkowskiej, które złożyły się na tę książkę, drukowane uprzednio w czasopismach, spotykały się często z ironią i kpinkami. Zresztą i w „Odgłosach" drukowaliśmy notkę na ten temat. Chodziło tam o to, że sekretarka — jak pisze — przygotowywała tekst do druku pod względem ortograficznym, interpunkcyjnym, stylistycznym i graficznym...

Trochę to brzmi zabawnie, trochę megalomańsko, kiedy młoda osoba oświadcza, że poprawiała styl i ortografię takiego mistrza słowa jak Wańkowicz. Ale... Pisarz miał już wówczas osiemdziesiąt parę lat. Po drugie chodziło tu o „Karafkę La Fontaine'a", a więc dzieło złożone z setek informacji, wyimków, cytatów i fragmentów. Sędziwy pisarz nie był na pewno w stanie stworzyć takiego dzieła sam. Potrzebny był researcher, który by mu dostarczał i odpowiednio redagował potrzebne cytaty i informacje. Takim researcherem była Ziółkowska i na nią w jakiejś mierze spływa sława i chwała za „Karafkę". Nie ma więc powodu, aby — świadoma swej roli — skromnie ją przemilczała.

Niedawno „Przekrój" sygnalizując książkę Ziółkowskiej napisał z lekka bagatelizująco, że jest to obraz Wańkowicza w pantoflach. A przecież nie o to chodzi. Jest to bowiem zapis życia i pracy — dokumentalny zapis — ostatnich lat i miesięcy, ostatnich dni i godzin pisarza naprawdę dużej miary. Jest to także zapis odkrywczy, wnoszący nowy ton w te dziesiątki publikacji na temat Wańkowicza.

Solidna lecz dość banalna książka Mieczysława Kurzyny jest z pewnością cenna, ale mógł ją napisać każdy solidny badacz. Wywiad — rzeka Krzysztofa Kąkolewskiego jest z kolei niebanalny, bo ożywiony talentem docenta żurnalistyki... Tylko, że w tym wywiadzie sam Wańkowicz nie mówi w gruncie rzeczy nic nowego. Powtarza przecież Kąkolewskiemu wszystko to, co znaleźć można w wydanych już książkach, tak bardzo nieraz przesyconych autobiografizmem.

A właśnie relacja Ziółkowskiej jest czymś nowym i odkrywczym. I na pewno jest to relacja godna szacunku. Sama autorka pisze przecież, że był dla niej najlepszym, najwierniejszym przyjacielem. Ale nie wpada wcale w ekstazę, jak to się wielu bliskim Wańkowicza zdarzało. Od Ziółkowskiej dowiadujemy się, że ów typ rodziny, jak tworzył w swoich książkach, był mitem, że jego kontakty z rodziną były dość nikłe. Od Ziółkowskiej dowiadujemy się, że ten uwielbiany pisarz nie miał bliskich przyjaźni, że na ludziach zależało mu tak jak aktorom na publiczności — bo od niej zależy powodzenie... A jednocześnie dla ludzi obcych był najczęściej obojętny, często niechętny, ostry. A także i to, że najserdeczniejszego przyjaciela, długoletniego gotów był natychmiast poświęcić, kiedy tamten nie bardzo się mu poddawał, miał inne — nieważne czy słuszne — zdanie...

Był sprzecznością — pisze Ziółkowska. Oczywiście był sprzecznością, bo sprzecznością jest każdy człowiek; Wańkowicz był w tych sprzecznościach wyjątkowy, może bardziej kontrastowy, bo był człowiekiem i twórcą wyjątkowego formatu.

Nie był religijny. Bał się śmierci, ale jednocześnie znając jej konieczność pragnął śmierci dostojnej jak misterium — w domu, nie w szpitalu, gdzieś za parawanem... Oczywiście, tak wszystko na tym świecie stało się inaczej. Umarł w szpitalu, nie wśród bliskich, a wśród obojętnych i zawodowo znieczulonych na śmierć.

Był sprzecznością — pisze Ziółkowska. I chciał, nie chciał nagrody państwowej, orderu, uroczystego pogrzebu, wielkiej śmierci. A śmierć miał bardzo polską. Kłopoty z wezwaniem pogotowia, obojętność lekarzy, brak miejsca w szpitalu...

Nie wykluczone, że ta książka narazi Ziółkowską na ataki wielbicieli Mistrza, którzy (Wańkowicz nazywał to „chciejstwem") chcą go widzieć w charakterze pomnika ze spiżu. Ale — powtarzam — jest to książka, która wnosi nowy ton w literaturę na temat Wańkowicza, książka — która powinna powstać i którą napisać mogła tylko Aleksandra Ziółkowska.

WIDOK

LEWYM OKIEM

CZY MOGĘ PANIĄ PROSIĆ?

„Przed wojną w moim gimnazjum nie było żadnych potańcówek" — wspomina Feliks, ten od „Impertynencji", w „Kobiecie i Życiu". Wspomina po to, żeby dać wyraz swemu zgorszeniu faktem, że teraz potańcówki w szkołach bywają. Przed wojną było fajnie i mądrze, nigdy już tak nie będzie. Potańcówka w dzisiejszym liceum, tak jak ją referuje Feliks, to ponura popijawa i miętoszenie się po ciemnych korytarzach, nic dziwnego więc, że autor proponuje, aby nie urządzać w szkołach zabaw, jeśli nie obstawią ich umundurowani ojcowie niektórych uczniów; chodzi chyba o stalowe mundury milicji. **„Pijany chuligan przed mundurem kica"**, a któż bierze udział w szkolnych studniówkach, jak nie pijani chuligani?

A znów Teresa Kuczyńska pisze w tym samym tygodniu w „Polityce":

„Gdzie huczne zabawy z tamtych lat — pięćdziesiątych, sześćdziesiątych — kiedy szaleliśmy na balach, organizowanych przez różne stowarzyszenia, instytucje? Co tu ukrywać, przeżyły się bale, przeżył się sam karnawał. Młodzi traktują go jak relikt przeszłości".

Pani Teresa kończy swój gorzki artykuł, poświęcony jakże ważnej sprawie: rosnącej samotności człowieka w świecie dzisiejszym, słowami:

„Nim zaczniemy burzyć jakieś tradycje, także zabawy, zastanówmy się głęboko, co w zamian, i czy to ludzi uszczęśliwi..."

W moim gimnazjum — przed wojną, kochani, przed wojną — bywały zabawy. Hej, jakie zabawy... Studniówka dla maturzystów — obowiązkowo, ale oprócz tego każda klasa począwszy od szóstej (starego typu, nieczytelnego już zapewne dla większości z Was) miała swoją zabawę co najmniej dwa razy w roku. Szkoły nie były koedukacyjne, więc te zabawy to był prześliczny teren nawiązywania kontaktów, znajomości, flirtów — a i wielkich miłości także. Nigdy nie było alkoholu, tutaj Feliks ma rację, to jest bardzo nowy fason — to kretyńskie urzynanie się smarkaczy, żeby na siłę nie wydać się smarkaczem. Nigdy nie wpadli na salę chuligani, nie stanowili żadnej siły, można było żyć latami i nie wiedzieć o ich istnieniu. Oczywiście — istnieli na pewno, ale gdzieś na dalekich marginesach, bez styku z takimi instytucjami, jak — chapeau bas — szkoła średnia!

Moje doświadczenie, podobne do tego co relacjonuje pani Kuczyńska, nie tylko nie pokrywa się z doświadczeniem Feliksa, ale wydaje się wręcz odwrotne. Przed wojną i aż do lat sześćdziesiątych po wojnie bywały zabawy w szkołach, w zakładach pracy, w uczelniach, biurach i instytucjach. Dzisiaj nie ma zabaw nigdzie, „przeżyły się bale, przeżył się sam karnawał". Pokażcie mi w bieżącym sezonie chociaż parę przykładów dobrych, zorganizowanych, dużych imprez naprawdę karnawałowych w naszym mieście. Gdzie one są? Gdzie były obchodzone Sylwestry, poza tysiącami „prywatek", na których można tylko wepchnąć się na siłę w ciasną szczelinę za stołem, urżnąć się na chama i po odśpiewaniu „Górala" rąbnąć flachą w telewizor?

Co prawda, to chyba ów telewizor nie jest bez winy w odniesieniu do ginących form życia towarzyskiego, ale przecież nie demonizujmy go. Musi istnieć coś oprócz telewizji, co sprawia, że kilku zapytanych przez Teresę Kuczyńską ludzi różnych zawodów wypowiada się imiennie tak:

„Z innych (poza wizytami w paru domach — przyp. mój) **form życia towarzyskiego nie korzystamy w ogóle. Przyjęć nikt nie urządza, klubu nie ma, do kawiarni nie ma po co chodzić, zwłaszcza w Łodzi (!). A szkoda. Izolacja przeszkadza powstawaniu szerszych więzi społecznych, zawęża i w pewnym sensie paczy pole widzenia, zubaża intektualnie".**

Albo tak:

„Nie prowadzimy z żoną zupełnie życia towarzyskiego, jesteśmy samotnikami. Czuję się straszliwie, dogłębnie zmęczony. Nie fizycznie, psychicznie".

„Szkoda, że nie mamy tak wykształconych form współżycia z ludźmi jak nasi rodzice. Oni mają pełno przyjaciół, kuzynów, i te związki utrzymywane są bez wysiłku, jakby mimochodem, a przecież jawią się żywe i bliskie".

Jestem za organizowaniem balów w szkołach, na uczelniach, w biurach i zakładach pracy. Byleby bez tych cholernych setek decybeli, a przy normalnej, dźwięcznej, nie ogłuszającej muzyce. Byleby bez całych skrzyń wódy sprzedawanej przez szatniarza i przez sprzątaczkę z narzutem dwustuprocentowym. Takie bale są możliwe, słowo daję. Coś trzeba robić, żebyśmy za dwadzieścia lat nie ocknęli się nagle jako czterdzieści milionów straszliwie, dogłębnie zmęczonych samotników.

ĆWIEK

PROPOZYCJE

NONSZALANCJA

Starożytni Rzymianie mawiali: „errare humanum est" — co tłumaczy się na język polski jako: „mylić się jest rzeczą ludzką". I ludzie się mylą, a nawet domagają się ustanowienia czegoś w rodzaju „prawa do błędu". Tylko, że mylenie się, tak jak wszystko w naszym życiu, ma swoje granice. Przekroczenie tych granic rodzi różne zjawiska. W pewnych wypadkach — nonszalancję.

W jakich wypadkach? A ot, choćby w tych, o których niedawno pisał w „Szpilkach" Jerzy Urban, a w telewizyjnej „Panoramie" mówiła Irena Dziedzic. Rzecz dotyczyła warszawskiej książki telefonicznej, do której, aby móc się nią posługiwać, trzeba posiadać specjalny szyfr. Innym bowiem językiem posługujemy się w życiu codziennym, a inny jest język oficjalnych nazw i dlatego na przykład „Polleny" i „Pewexu" trzeba szukać pod... „B", a zespołu filmowego „Iluzjon" pod... „P".

Wielu nazw używa się u nas tradycyjnie i używać się będzie, lekceważąc pełne, długie i urzędowe nazwy. Te nazwy ktoś z uporem wymyśla, ktoś inny stale je z uporem godnym lepszej sprawy zmienia, a ludzie furt to samo: „Wólczanka", „pracuję u Marchlewskiego", „robi to Próchnik". Ludzie dążą do uproszczeń i nikt nic na to nie poradzi. Wydawałoby się zatem, że trzeba byłoby we wszelkiego rodzaju książkach telefonicznych, spisach itp. nie zapominać o popularnych nazwach i na przykład pod „Wólczanka" dać stosowny odsyłacz, gdzie szukać pełnej nazwy tej fabryki, podobnie jak w książce warszawskiej pod „Iluzjon".

Aliści w ruchu edytorskim można zaobserwować pewną nonszalancję, już nie tylko wobec nazw popularnych, ale i wobec nazw historycznych i geograficznych. W „Encyklopedii Powszechnej PWN" pod literą „G" nie ma na przykład Gór Świętokrzyskich, są natomiast Świętokrzyskie Góry. Ściśle nie ma jeszcze tych Świętokrzyskich Gór, gdyż kolejny tom, w którym one będą, jeszcze się nie ukazał. Tylko, że w tomie, który już się ukazał pod hasłem „Góry" nie ma stosownego odsyłacza.

Obecnie ukazał się nakładem „Wydawnictwa Sport i Turystyka" niewątpliwie potrzebny „Mały Przewodnik po Polsce". I tu taka sama sytuacja. Wydawca wręcz uprzedza czytelnika:

„Hasła dwu i więcej wyrazowe np. „Góry Świętokrzyskie" zamieszczono w postaci „Świętokrzyskie Góry" podając człon bardziej pospolity na końcu, podobnie Drawskie Pojezierze, Wiślane Żuławy, Białowieska Puszcza".

Ale dlaczego? Na miłość boską, kto i komu pozwala na dowolne zmienianie nazw geograficznych i historycznych? Aby było je trudniej odszukać? Chyba tylko dlatego.

Wydawnictwo „Sport i Turystyka" prosi czytelników „Małego Przewodnika po Polsce", aby uwagi o tej książce przesyłali na adres: 00-021 WARSZAWA, ul. Putkowskiego 7/9 gdyż „nie jest w stanie ustrzec się błędów i usterek".

Istotnie. Oto bowiem z lektury przewodnika dowiaduję się np., że KUTNO jest miastem powiatowym, choć powiatów nie ma już od 1 czerwca 1975 roku, a książkę ukończono drukować w październiku 1975 roku. Wydawnictwo wprawdzie tłumaczy się, że część przewodnika była już wydrukowana i trudno było o dokonanie zmian. Wypada wierzyć, gdyż tekst oddano do składania w Drukarni Wydawniczej w Krakowie w marcu 1974 roku. Natomiast trudno wydawcy wybaczyć inne błędy merytoryczne.

Pod hasłem „ŁÓDŹ" czytam ci ja na przykład:

„W 1970 roku zapadła uchwała Rządu o przebudowie i rozbudowie śródmieścia, m.in. przebudowano Dworzec Fabryczny (1973) oraz ulice Kilińskiego i Główną".

Co słowo to błąd. Uchwała Rady Ministrów „w sprawie rozwoju i modernizacji m. Łodzi w latach 1971—1975 i założeń na dalsze lata" zapadła w 1971 roku i dotyczyła całego miasta, a nie tylko śródmieścia. Modernizacja Dworca Fabrycznego zaczęła się znacznie wcześniej i nic wspólnego z tą uchwałą nie miała. Do przebudowy ulic Kilińskiego i Głównej jeszcze dość daleko.

Podobnie nieprawdą jest, że we Włocławku przebudowano centrum miasta, gdyż wybudowanie jednego domu i kilku sklepów trudno nazwać przebudową. W porównaniu z tym drobiazgiem jest już zaliczenie tomaszowskiej „Mazovii" do przemysłu bawełnianego.

Nonszalancko wobec faktów postąpił też Franciszek Lewandowski w „Głosie Robotniczym", który w artykule „Łódź wolna!" — charakteryzując atmosferę, jaka panowała w mieście 19 stycznia 1945 roku — napisał:

„— Niemcy i Hitler kaput! Wojska radzieckie i polskie biją wroga na wszystkich frontach! — krzyczeli chłopcy, kolportując na Piotrkowskiej pierwszą gazetkę polską „Wolna Łódź".

Nieprawda! Grupa operacyjna Rządu Tymczasowego RP przybyła do Łodzi wieczorem 20 stycznia 1945 roku. Obwieszczenie o tym fakcie ukazało się 21 stycznia, a pierwszy wiec ludności zwołano na 22 stycznia. „Wolna Łódź" ukazała się dopiero 24 stycznia 1945 roku.

Niewątpliwie, „mylić się jest rzeczą ludzką", ale nie wolno mylić się w odniesieniu do faktów, które są do sprawdzenia, gdyż tego typu pomyłki są po prostu nonszalancją.

MARCIN RODAK

MAGAZYN
ODGŁOSY

ANDRZEJ JÓŹWIAK

ROZRYWKA RYTM I MELODIA

W Polsce nie ma — niestety — szkół muzycznych kształcących wykonawców piosenki rozrywkowej i stąd też niezwykle barwny wachlarz przeróżnych zawodów reprezentowanych przez piosenkarzy, których początkiem artystycznej kariery bywa z reguły studencki teatr, kabaret, amatorski konkurs wokalistów, szkółki wokalne przy rozgłośniach radiowych, stowarzyszenia muzycznych itd. Nasi czołowi piosenkarze mają przeróżne zawody wpisane w dowodach osobistych. Lat temu — nieważne ile — Halina Kunicka ukończyła prawo na Uniwersytecie Warszawskim, Anna German — geologię we Wrocławiu, Ewa Demarczyk studiowała w PWSM, a później na Wydziale Budownictwa i Architektury Uniwersytetu Jagiellońskiego, podobnie zresztą jak Marek Grechuta. Andrzej Rosiewicz jest inżynierem melioracji. Jerzy Połomski ukończył Wyższą Szkołę Teatralną (wydział estradowy) wśród absolwentów której odnajdujemy również wiele innych czołowych gwiazd polskiej piosenki.

Maryla Rodowicz jako studentka warszawskiej AWF debiutowała w studenckim festiwalu piosenkarskim, a tandem Skaldów — Zielińskich naonczas reprezentujących PWSM w Krakowie — w studenckim programie estradowym. Mało kto wie o tym, że w grupach beatowych występuje wielu absolwentów średnich i wyższych szkół muzycznych, że maestro Niemen jako nie znany jeszcze nikomu Czesław Wydrzycki zapamiętale ćwiczył na fagocie w szkole muzycznej.

Nasza stara kadra piosenkarska wykrusza się, a nowy narybek uwidocznił, iż nadal brak nam koncepcji szkolenia młodych artystów estradowych. Zastanawiam się jak to się dzieje, bowiem wiele rokujących nadzieję dziewcząt i chłopców po ukończeniu studiów aktorskich i muzycznych niekiedy bardzo mętnie wyobraża sobie gdzie i w jaki sposób mogą najlepiej rozwinąć swe możliwości estradowe, a nam nadal brakuje zjawisk ambitnych, niespokojnych artystycznie i utalentowanych. A nawet jeśli odnotujemy jakąś ciekawszą osobowość, to nie sterowana przez instytucjonalnego dobrego mecenasa ginie niebawem na szlaku wielkiej chałtury. Istniejące aktualnie Studium Sztuki Estradowej na tych warunkach i zasadach to nieporozumienie, tak jak nieporozumieniem będzie — z logicznego punktu widzenia — dodawanie dwóch pojęć należących do różnych gatunków. Jedno szkło plus jedno oko nie

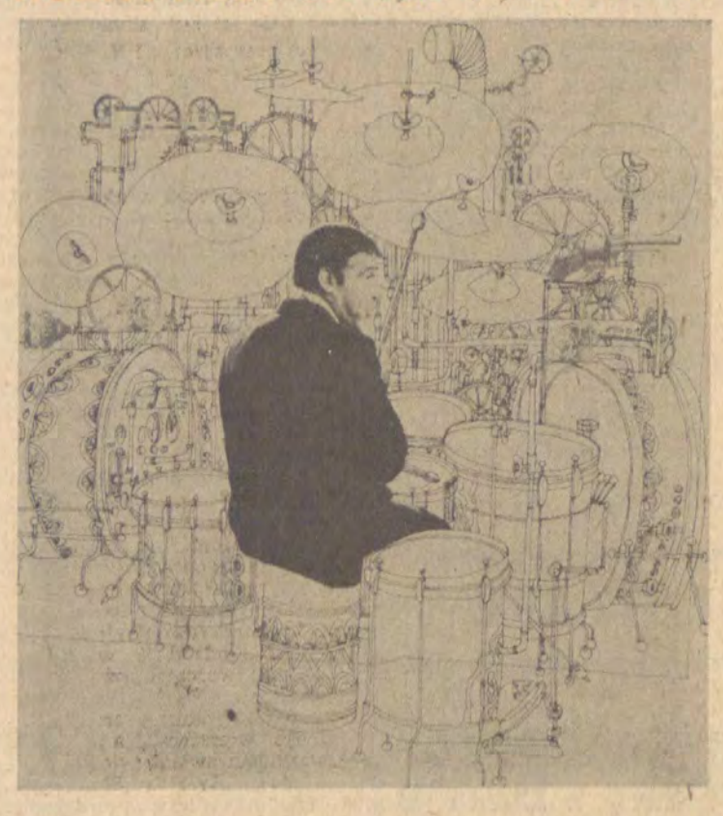

dadzą w wyniku szklanego oka, tak jak z jednego oka plus szkła nie będzie lunety.

Jednymi rewelacjami ostatnich lat okazały się Zdzisława Sośnicka, Urszula Sipińska i Maryla Rodowicz. Popularność zdobyły Irena Jarocka, a ostatnio Anna Jantar. Wspomina się o nie wykorzystanych możliwościach Krystyny Prońko i dość efektownym debiucie (a właściwie come-backu) Elżbiety Wojnowskiej. Nie dajmy się zwarłować. Jakie to są młode talenty? Prawie wszystkie te panie — jak sądzę — są rówieśniczkami wykonawców ze zbliżonej chronologicznie Czerwonym Gitarom fali debiutów lat 1964—66. Mocno lansowana w latach 1971—73 Jolanta Kubicka jest — jak mi się zdaje — z rocznika Karin Stanek. A więc jakiekolwiek mowy na temat młodzieży szturmującej miejsce w czołówce piosenkarskiej naszego kraju to przejaw samouspokojenia.

Kilkanaście lat temu sprawami piosenki być może nie musieliśmy się zbytnio przejmować. Każdy śpiewał co chciał, a jeżeli nie umiał — to mu radio proponowało kilka piosenek do wyboru i kilku piosenkarzy — wzorców do naśladownictwa: Mirska, Zylska, Danek, Gniatkowski, Koterbska, Sztatler i kropka. Kłopotów większych nie było, a z ówczesnych przebojów: „Czerwony autobus", „Piosenka o Nowej Hucie", „Na prawo most, na lewo most", „Kuba wyspa jak wulkan gorąca", „A mój chłopiec piłkę kopie" ostała się jeno Nowa Huta, warszawskie mosty, chłopcy kopią dalej piłkę, autobusy migają jeżdżąc „stadami", zaś Kuba rzeczywiście okazała się wulkanem, ale o trochę innym charakterze niż sugerował to tekst bzdurnej piosenki. W latach sześćdziesiątych piosenka przechodzi gwałtowną metamorfozę, przejmuje coraz to subtelniejsze funkcje, a co celniejsze pióra głowią się nad prawdziwą, narodową polską piosenką. Jest, czy też jej nie ma? 400 lat p.n.e. muzyk Tymoteusz z Miletu, którego karykaturę przedstawia komedia Fizjokratesa, został skazany na wygnanie za to, że wniósł zamęt w piękno i dobry ład muzycznej sztuki.

Kogo by tu skazać na wygnanie za to, że tworząc trzy piosenkarskie giganty: Sopot, Opole, Kołobrzeg nie potrafił zapewnić dopływu nowych i dobrych kadr piosenkarskich. Na kim więc spoczywa odpowiedzialność za propagowanie dobrej muzyki i piosenki?

I tu dotykamy sprawy tysiąca festiwali piosenkarskich, których zadaniem jest upowszechnianie wartościowej rozrywki. Festiwal Piosenki Morskiej, Festiwal Piosenki Żołnierskiej, Studenckiej, Harcerskiej, Górskiej, Poetyckiej, Zaangażowanej, Polskiej, Folklorystycznej, Festiwal Pieśni Walki i Pracy itd. itp. Gdyby odwiedził Ziemię gość z Marsa, to po obejrzeniu „Kalendarza Imprez Centalnych" wydanego przez Ministerstwo Kultury i Sztuki doszedłby do wniosku, że Polska jest krajem festiwali i piosenek. Dlaczego więc jest tak źle skoro jest tak dobrze? Rokrocznie na dziesiątkach festiwali przyznawane są setki nagród, wyróżnień, z laureatów tych imprez można by uformować dywizję kobiecą i dwa męskie pułki pomocnicze. Nie mówiąc już o jednym plutonie dziecięcym, bowiem na III Ogólnopolskim Festiwalu Piosenki Harcerskiej w Siedlcach (maj 1975) laureatami pierwszych nagród zostali bracia Formankowie, którzy razem mają niewiele ponad 20 lat, Beata Andrzejewska zdobywczyni głównej nagrody bodajże ma również 10 lat.

Nie zamierzam dłużej rozwodzić się na bezsensem organizacji kilkudziesięciu festiwali i konkursów, które nie przynoszą żadnych konkretnych efektów i pochłaniają masę pieniędzy, które można by przeznaczyć na inne cele kulturalne, ale zgodnie z realiami proponuję rygorystyczne stosowanie zasady wynikającej z refrenu piosenki śpiewanej przez „Tropicale Thaiti Granda Banda": KOTY ZA PŁOTY, WÓŁ DO KARETY, AZOR DO BUDY, ŚLEDZIE DO SETY. Kropka.

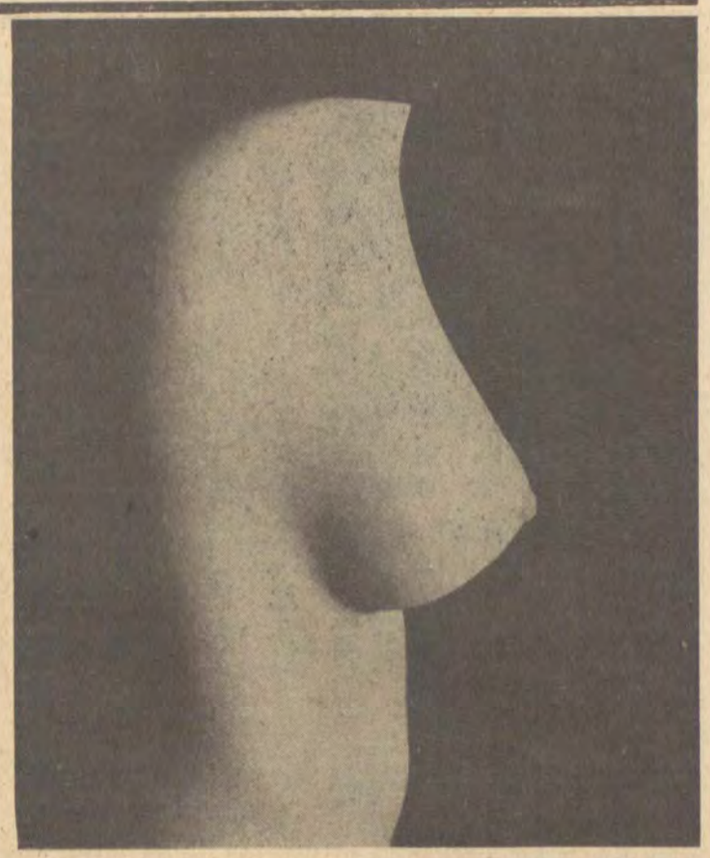

Fot. Janusz Praja

POWIĘKSZENIA

ZA CO CHWALI KTT?

„Przed jakimś czasem dwaj młodzi autorzy Kornhauser i Zagajewski wydali książkę (którą bardzo chwaliłem) pt. „Świat nieopisany" — twierdzi w „Kulturze" KTT.

Otóż KTT chwalił, być może, obu autorów, ale na pewno nie za książkę pod tym tytułem. Jeśli KTT nie pamięta nawet tytułu, co zapamiętał z całej książki?

LITERATURA UCZY

Prasa doniosła, że pewien łódzki kieszonkowiec miał w domu (ujawniony w czasie rewizji) manekin obwieszony dzwoneczkami, na którym zawodowiec ćwiczył swoją sprawność.

Uważamy, że jest to dostateczny powód, aby zakazać druku powieści **Karola Dickensa** pt. **„Dawid Copperfield"**, gdzie to właśnie owa metoda szkoleniowa została dokładnie opisana. Widocznie łódzki kieszonkowiec w chwilach wolnych od zajęć czytuje angielskich klasyków. Całe szczęście, że nie wpadł na pomysł przeczytania „Zbrodni i kary".

PODRÓŻE Z „HAGAWEM"

Pan **Krzysztof Riege** z TVP napisał scenariusz i wyreżyserował film pt. **„Podróże z „Hagawem"**. Tak na oko to w filmie brało udział ze sto osób. Potem to ktoś musiał zmontować i ktoś to puścił w eter. Pretekstem były dwie piosenki **Andrzeja Rosiewicza** trwające łącznie około 5 minut.

Resztę filmu, czyli 25 minut, zajęły bezładne scenki bez żadnej myśli przewodniej, na dodatek bez dowcipu i koncepcji. Na dobrą sprawę wszystko to mogło powstać bez scenariusza i reżysera. Wystarczyłby jeden operator, który mógłby być nawet na bańce, co by filmowi bardziej nie zaszkodziło.

TADEUSZ GIGGIER

FRASZKI LITERACKIE

NA JUBILEUSZ WŁADYSŁAWA RYMKIEWICZA

O jednym jeszcze dziele Jubilata
wspominać będą potomni przez lata,
wysoką dziełu przystawiając miarę.
A imię jego jest: Jarosław Marek.

LUBIĘ

Lubię, gdy satyryk Huszcza
rzecz swą lirycznie wyłuszcza.

JEST

Jest jedna linia słuszna.
A jaka?
„Linia" Wawrzaka.

ŻYCIORYS rysował: ADAM KUCZYŃSKI

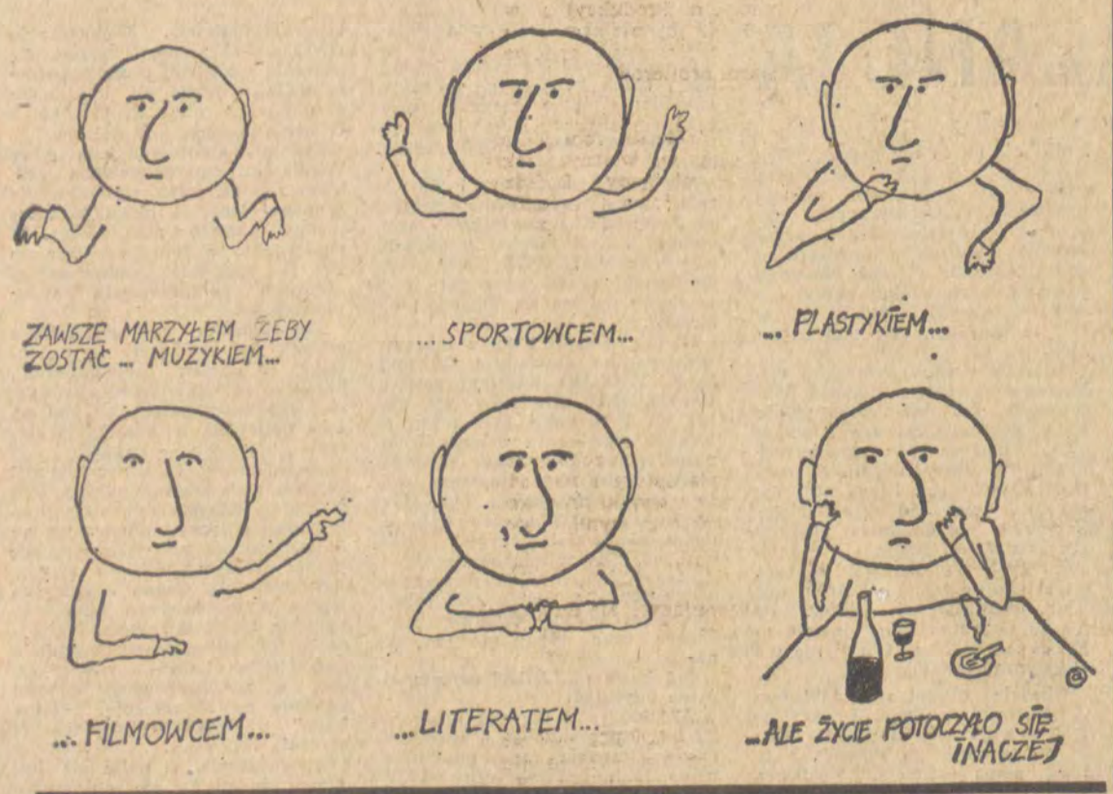

GRZECZNIE I BEZPIECZNIE

Przed wieloma miesiącami TV nadała program **„Tak jest, jak się państwu zdaje"**. Była to próba weryfikacji ocen krytyków muzycznych oraz sprawdzenia, w jakim stopniu te kategoryczne nieraz oceny mają pokrycie w kwalifikacjach krytyków.

Okazało się wówczas, że renomowani, firmowi krytycy nie potrafią odróżnić utworu Wieniawskiego granego przez wybitnego skrzypka od tego samego utworu granego przez studenta konserwatorium.

Program wywołał wiele szumu, wiele było na łamach prasy protestów i sprostowań krytyków. Naturalną rzeczy koleją programy z tego cyklu zniknęły z ekranu telewizyjnego. Mogły się okazać zbyt kontrowersyjne, zbyt mocno zabolały „Warszawkę", były dla tzw. środowiska zbyt niebezpieczne.

Dziś ośmieszeni krytycy nadal ferują apodyktyczne sądy na łamach prasy, natomiast w telewizji pokazano następny program z tego cyklu. Tym razem o plastyce — i tym razem bezpiecznie.

Już się nie poddaje egzaminowi krytyków, lecz... odbiorców. To zawsze łatwiejsze. Tak więc elokwentny reporter robi na siłę „balona" z klientki komisu, pragnącej nabyć (podstawiony przez telewizję) obrazek w złoconej ramie; tak więc filmuje się szary odbiorca, jego gusty wystawę obrazów spreparowanych na użytek telewizji...

Obiektem zainteresowania stał się szary odbiorca, jego gusty i brak orientacji są celem ataku. Bardzo ładnie — ten program nikogo nie urazi, nie obnaży ignorancji krytycznych sław. Ośmieszy tylko widza.

Grzecznie, bezpiecznie i anonimowo. W tytule programu tkwi siermiężna prawda telewizji. Tak jest, jak się państwu zdaje.

J. W.

MAŁE KINO

„Najlepsze te małe kina..."
K. I. G.

FACHOWE SPOSOBY

Często spotykamy w filmie scenę, gdy dwóch ze sobą rozmawia. Ten pierwszy prosi drugiego o pożyczenie tysiąca złotych. Wtedy ten drugi mówi, że proszę bardzo i daje temu pierwszemu tysiąc złotych. Zastanawiamy się potem, jak nakręcono taka trudną scenę?!? Otóż to robi się tak, że po tej pierwszej rozmowie szybko kręci się następną. Wtedy ten drugi mówi do pierwszego, żeby oddał mu tysiąc złotych które pożyczył. A ten pierwszy, jeśli jest uczciwy, to przeprasza i oddaje tysiąc złotych temu drugiemu. Jeśli jednak ten pierwszy okaże się nieuczciwy, to ten drugi proszony przy następnej okazji przez tego pierwszego o pożyczenie tysiąca złotych, odpowie oczywiście, żeby ten pierwszy pocałował go gdzieś, bo już się na nim poznał. Taka odpowiedź zmieni cały sens sceny a nawet i filmu, więc ten pierwszy nieuczciwy, by tego uniknąć, zwykle jednak stara się być uczciwy! Inny sposób na nakręcenie pow. sceny nie jest znany.

PIĘKNY GEST

Spółdzielnia Inwalidów „Szklana Aorta", przypominając o istnieniu rzeszy staruszków, postanowiła wyprodukować dla nich ciekawy i pożyteczny film. W filmie tym pokaże się staruszkom wszystko to, czego nie mogli zobaczyć oni za czasów swojej zamierzchłej przecież, młodości. I tak zobaczą oni m. in.: bakterie, zupę w proszku, dowód na nieistnienie Pana Boga, masło dietetyczne, szerokie nogawki oraz spóźnienie pociągu.

RADY DLA KAŻDEGO

W pogodny letni dzień pożytecznie jest śledzić loty ptaków na tle błękitnego nieba. Równocześnie należy zadawać sobie pytanie, skąd dany ptak leci i po co. Ptaki lecące bez celu, spisujemy na kartce i nie wzorujemy się na nich. Ptakom lecącym zaś po coś, serdecznie pomachajmy kapeluszem.

RADOŚĆ I PECH

Państwo J. S. z Francji mieli synka Klaudiusza, który był zupełnie łysy. Lubili oni ze swoją pociechą uczęszczać do kina na kolorowe filmy. Po odpowiednim ustawieniu głowy małego, odbijały się od niej kolorowe refleksy, budzące dumę i radość rodziców. Niestety, po pewnym czasie spożywania witamin, synkowi wyrosły tak długie brwi, że państwo J. S. z Francji nie mają już po co chodzić do kina.

W WIGILIJNY WIECZÓR

Ciekawą wizytę miał w Wieczór Wigilijny pewien znany reżyser. Do drzwi jego mieszkania zapukał koń. Przybyły przeprosił za śmiałość i przedstawił się jako przedstawiciel wszystkich rumaków, występujących w filmach historycznych. W ich imieniu stwierdził, iż nieustanne wożenie na grzbiecie szlachty czy nawet monarchów przekroczyło stanowczo granice przyzwoitości. Następnie koń poprosił reżysera by w imię dobrze pojętego rewanżu przynajmniej w jednym filmie historycznym choć jeden koń przejechał się na szlachcicu czy nawet monarsze. Reżyser obiecał dołożyć w tym kierunku starań. Potem obaj panowie jeszcze przez chwilę dyskutowali o różnicy między wałachem a ogierem.

ANDRZEJ CZEKALSKI

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-102. Telefony 652-44, 217-98 oraz 293-00, wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch", Zam. 98, R-2. Nr indeksu 26762.